

„Siedem rozmów o poezji” – Floriana Śmiei dialogi z poetami

Recenzja książki



Na Culture Avenue pojawiły się dwie rozmowy o poezji Floriana Śmieji - z Wacławem Iwaniukiem oraz z Julią Hartwig i Arturem Międzyrzeckiem. Obie znalazły się w książce „Siedem rozmów o poezji”, wydanej przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, w Toronto w 1990 roku. Publikacja ta jest ważnym przyczynkiem do analizy procesów, przez które przechodziła współczesna poezja polska. Mimo, że rozmowy były przeprowadzone wiele lat temu, wnikliwe obserwacje interlokutorów nie zdezaktualizowały się.

Redakcja

Grażyna Maroszczuk

Siedem rozmów o poezji **Floriana Śmiei** - książkę opublikowaną w Toronto w 1990 roku - tworzą dialogi spisane na gorąco i rejestrujące, jak powie autor przedsięwzięcia, rozważania poświęcone poezji, sposobom jej przeżywania, sylwetkom poetów znanych i mniej znanych odbiorcy, artystów tworzących w kraju i na emigracji. Nie łatwo przesądzić, co łączy rozmowy zarejestrowane w różnych miejscach i w różnym czasie. Zamyśl konstrukcyjny całości charakteryzuje pewna przypadkowość.

Stwierdzenie starożytnych „verba volant, scripta manent”, że należy ulotne słowa spisać, i dzisiaj nie straciło na aktualności. Dotyczy to również spontanicznych rozmów o literaturze .

Przed laty powziąłem myśl, by sporadycznie przejeżdżających przez London Ontario, przyjaciół i znajomych nagrywać, gdy tylko rozmowa zejdzie na tematy związane z poezją. Z czasem doszedłem do wniosku, że te odruchowe i szybkie wypowiedzi są interesujące i że warte są utrwalenia i udostępnienia innym [...].

Rozmowy nie były planowane. Uważny czytelnik bez trudu odczuje brak spójności między nimi. Z kolei dzięki temu, osiągam coś, co też jest wartością: spontaniczność, chwytanie na gorąco chwili, przekształcanie się falującej intuicji w słowa szukające prawdy. [1]

Wybór padł w tym wypadku na rozmowy, w których jednym z podmiotów wymiany są poeci, prozaicy, historycy literatury, redaktorzy emigracyjnych pism kulturalno-literackich, wykładowcy: **Tymon Terlecki, Jerzy Pietrkiewicz, Janusz Ihnatowicz, Stanisław Barańczak, Krzysztof Lisowski, Julia Hartwig, Artur Międzyrzecki, Wacław Iwaniuk** a „gospodarzem instytucjonalnym” całości jest poeta, wykładowca,

tłumacz literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej, eseista, redaktor naczelny londyńskich pism emigracyjnych „Nowy Mercuriusz” i „Kontynenty” – **Florian Śmieja**. Poeta, który ma za sobą trudną drogę na obczyznę, co powoduje, że relacja emigracja – kraj, przetransponowana do poetyckich utworów artysty zaznaczona jest silnie także w innych przekrojach autokomentarzy literata, w jego twórczości wspomnieniowej i paraliterackiej.

Nie chcę wchodzić w szczegóły biograficzne pozwalające właściwie docenić silną, emocjonalną więź humanisty z ojczyzną. Rozmowy o poezji trudno jednak czytać bez świadomości tego kontekstu, bez zrozumienia trudnej sytuacji emigracyjnego poczucia obcości. Bez ciekawości spraw polskiej kultury, jaka leży u podstaw przedsięwzięcia, zapewne nie powstałyby dialogi, które zebrane zostały w formie publikacji zwartej. Interesuje mnie zatem, jak poeta pojmuje zobowiązania paraliterackich tekstów. Wszak paratekstowe komentarze zamieszczone we wstępnych rozważaniach animatora dialogów wiążą się między innymi z pytaniem, jak czytać dialogi o poezji. Są one zapisem selektywnej i wybiórczej pamięci, która fałszuje obraz przeszłości. Jednocześnie pamięć ta w sytuacji psychicznej emigranta krystalizuje poczucie tożsamości.

Lekturę siedmiu dialogów rozpocząć należy od *Słowa wstępnego*. Nie sposób nie zauważyć, że metatekstowe wypowiedzi poety i

gospodarza instytucjonalnego spotkań, konsekwentnie przypominają o takich wartościach dialogów, jak świeżość aktualnego spojrzenia interlokutorów, fragmentaryczność wyselekcjonowanych epizodów, z drugiej zaś spontaniczność zapisów, zachowanie dynamizmu chwili żywej rozmowy i bezpośredniość kontaktu, która kompensować ma „nieuniknione w takim wypadku niedociągnięcia i usterki”[2]. Sprzeczności, na których rozmowy są zbudowane, trudności w rejestracji mówionego-pisanego świadomość tę jedynie pogłębiają. Autor wstępu sygnalizuje obawy, które towarzyszą opracowaniu materiału. W autoryzacji materiał spisany na gorąco poddany zostanie retuszom, intelektualna rutyna wpłynie na „esencjonalność dorywczego spojrzenia”[3] „mówionego” i zastąpi go skrupulatną korektą „pisanego”.

Z drugiej jednak strony pozostaje szacunek dla pracowitości, skrupulatności zapisu, którym człowiek „umiejący pracować nad słowem” potwierdza swoją rzetelność i szacunek do literatury. „Skrzętny gospodarz sensu” – **Florian Śmieja** nie zapomina przecież o poznawczym, porządkującym trybie „wywiadywania się” i rejestrowania informacji. Odbiorca znajdzie w *Słowie wstępnym* dane na temat genezy rozmów. Biogramy i krótkie noty o ważnych pozycjach dorobku naukowego i artystycznego interlokutorów pełnią tu rolę informacyjnej introdukcji. Siła różnych punktów widzenia, rozpiętość czasowa i zmienność miejsc rejestrowanych na taśmie spotkań (Toronto, Cambridge,

Massachusetts, Warszawa) przybliżać mogą w miarę obiektywny obraz rzeczywistości rekonstruowanej po latach w dialogach. Wystarczy przeczytać informacje o miejscu i czasie nagrywanych spotkań, przywołujących odległe konteksty. Przypomnijmy, że rozmowy zebrane w porządku numerycznym rejestrują spotkania z lat siedemdziesiątych. Datą tą opatrzone zostały inicjujące kolejne spotkania, jak informuje autor wstępu, dialogi z **Januszem Ihnatowiczem** poświęcone wspomnieniom czasów „Kontynentów”. Zarejestrowane na taśmie spotkania z **Tymonem Terleckim, Stanisławem Barańczakiem i Krzysztofem Lisowskim** odbyły się w połowie lat osiemdziesiątych. Wreszcie finalizujące książkę dialogi z **Julią Hartwig, Arturem Międzyrzeckim i Wacławem Iwaniukiem** pochodzą z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Dialogi **Floriana Śmiei** z poetami ukazały się w 1990 roku. O karierze form dwuautorskich w trudnych latach transformacji drugiej dekady pisano wiele. Aleksander Głowczewski w książce *Poetyka i pragmatyka „rozmów z....”*[4] analizował przyczyny sukcesu form dwuautorskich, wywiadów z poetami, pisarzami, politykami. Dla badacza umownym punktem początkowym popularności tekstów interlokucyjnych był przełom 1989/1990 roku – jak twierdzi autor monumentalnego studium – są to lata publikacji *Mojego wieku* Aleksandra Wata (pierwszego wydania książki w oficjalnym obiegu). Badacz wskazuje jednocześnie na przyczyny popularności wywiadów książkowych. Jest tu miejsce

na informacje szczególnego rodzaju: dotychczas z różnych względów niedostępnych czytelnikowi. Jest miejsce na poszerzenie

przestrzeni komunikacji, zdeterminowanej m. in. obowiązującą w danym czasie doktryną polityczną i ideologiczną (...) [5].

Efektem tak ukierunkowanych zmian było „odblokowanie informacji”. **Florian Śmieja** przypomina o dokumentującej i poznawczej roli dyskursywnych komentarzy, inaczej trafiających do odbiorcy emigracyjnego, niż „mało chodliwe” [6] w rozumieniu wydawców, aspektowe dyskusje, debaty, odczyty na temat poezji [7]. Walory informacyjne tych przedsięwzięć grają rolę szczególną. Wiążą się z możliwością zaprezentowania mówiącego „ja”, który w obecności Drugiego współtworzy namysł nad życiem, twórczością, doświadczaniem trudów tworzenia w zmiennych sytuacjach historycznych w kraju i na emigracji. Można wstępnie założyć, że istotną rolę w wywiadach zajmowałby dziennikarski punkt widzenia z prawem do oryginalności komentarzy, przede wszystkim umiejętnością utrzymania uwagi odbiorcy na sprawach mało mu znanych. Ale kłopotliwa bliskość literatury i dziennikarstwa w badaniach literaturoznawców i medioznawców pozostaje kwestią ciągle otwartą. Nie można lekceważyć faktu, że pytający jest poetą.

Jako poeta interlokutor ciekawy będzie świadomości autorów, tego jak widzieli i widzą swój czas i rzeczywistość, w której przyszło im tworzyć. Chodzi przecież o sposób przeżywania poezji, trudne wybory artystyczne. O te kwestie poeta pyta najczęściej. Potrzeba weryfikowania tego, jak artyści pamiętają swoją przeszłość wydaje tu się mniej istotna. Okoliczności nagrań wyjaśnia komentarz wstępny:

W prezentowanych tekstach występuje rozmówca-poeta, rozmówca- pisarz [...] jako uczestnik życia literackiego, nie krytyk czy historyk literatury[8].

Rolą pytającego jest raczej wywoływanie wspomnień, zatem świadomość tego, który pyta może na swój sposób korygować interpretację monologizujących, może wyzwalać mowny potencjał rozmówcy, który próbuje porządkowania własnej przeszłości.

W takiej sytuacji nie było właściwe prezentowanie systematycznie przygotowanych pytań. Zadawałem więc ogólne i niepodchwytliwe, a i też nie zawsze, jeśli tylko rozmowa nabierała rozpędu. Próbowałem raczej asystować przy wyłanianiu się wspomnień i osądów, nie przerywałem i nieraz wolałem nie stawiać pytań, jeśli rozmówca

samorzutnie poruszał kwestię, choćby nawet nie rozwijały wcześniej rozpoczętej myśli.[9]

Metatekstowy fragment wprowadza czytelnika w świat lektury wywiadów, w których nie ściśle naukowy, nie dziennikarski punkt widzenia zdominował przekaz o sztuce i życiu literackim. Nie zawsze działa tu właściwe wywiadowczym praktykom prawo ekonomii uwagi. Rozmówcy pozwalają sobie na dygresje, usprawiedliwiają potrzebę retardacyjnego opóźniania rozmowy, wtedy gdy rejestracji domaga się nawet mniej ważny epizod, reminiscencja, asocjacja czy rozbudowany, metatekstowy komentarz. **Tymon Terlecki** na marginesie wywodu poświęconego wspomnieniom Leśmiana dopowie:

Wspominanie wymaga pewnych okoliczności. To nie jest aktywność psychiczna, którą można mieć na zawołanie. Są czasami irracjonalne okoliczności które powodują, że otwierają się jakieś śluzy, że wyskakują jakieś skojarzenia. Tutaj zupełnie niespodziewanie dla siebie opowiedziałem tę historię o Leśmianie, którą uważam za przynależną do historii recepcji tego poety[10].

Co do planu treści nie chodzi tylko o rejestrację, dokumentację wydarzeń, proste odwzorowywanie świata i różnorako uwikłaną,

ograniczoną interpretację faktów. Mniej wyraźne wydaje się dążenie do maksymalnego zobiektywizowania wypowiedzi. Wartością literatury jest afirmacja emocji i potrzeba kontrolowania ambicji intelektualnych. Dlatego wrażliwość poety, dająca o sobie znać w komentarzach wstępu, pozwala wydobyć walory wspomnieniowych ewokacji interlokutorów:

[...] rozmówcy nie używają aseptycznego żargonu naukowego, który tak skutecznie odstrasza czytelnika[11]

– przypomina **Florian Śmieja** w kolejnej autoeksplikacji. Tym samym uznaje ważną dla gatunku świadomość przystępności komunikowanych treści rozmów, które są – powtórzmy za Anną Łebkowską „rozmowami dla”, rozmowami dla odbiorcy[12]. Komentatorzy gatunku pisali o sprzecznościach tkwiących w tekstach mówionych pisanych. Ta świadomość mówionego-pisanego towarzyszyła pracom nad redagowaniem rozmów. **Florian Śmieja** umieści w paratekstowej formule wstępu komentarz dotyczący kłopotliwości rejestracji dialogów, trudności natury technicznej:

Oczywiście powstał dylemat czy należało dać autorom tekst do wglądu przed drukiem, istniała bowiem obawa, że rozmówcy będą się starali ulepszyć esencjonalność

dorywczego widzenia skrupulatnymi refleksjami i intelektualną rutyną[13].

Umiejętność pracy nad słowem, którą można odnieść do wszystkich rozmówców zagrażałaby – zdaniem autora wstępu – żywiołowi spontanicznej rozmowy.



Florian Śmieja z Niną Taylor-Terlecką, żoną Tymona Terleckiego, Oxford, 2004 r., fot. arch. Floriana Śmieji.

Rzecz tę warto zobaczyć w perspektywie, którą nakreśla animator przedsięwzięcia. Autor wstępu sygnalizuje w kolejnym fragmencie wagę wspomnieniowych ewokacji w dialogach rekonstruujących przeszłość powojenną. Retrospektywy poświęcone zapamiętanym miejscom i ludziom pojawiają się w komentarzach **Tymona Terleckiego** i **Wacława Iwaniuka**.

Tymon Terlecki na marginesie wywodu zastanawia się, nad mechanizmem rozpamiętywania inspiracji twórczych, które ukształtowały wrażliwość literata i bliskich mu „współleśmianistów”, bo tak krytyk nazywa fascynację lwowskich poetów poezją **Bolesława Leśmiana**:

Dla Leśmiana życie to było naprawdę przez największe „Ż”, obejmujące jakieś najdalsze perspektywy i psychologiczne i metafizyczne, kontemplację i złożoność, tragiczność, wieloznaczność faktu istnienia [...]

Przeżycie nasze Leśmiana było tak swoiste, tak głębokie, tak jakoś subiektywnie natężone, tak pobudzane przez okoliczności życia Zakopanego, sanatoriów, w których spędzaliśmy miesiące i lata przez naszą chorobę [...] [14].

W rozmowie z **Tymonem Terleckim**, krytykiem, historykiem teatru i literatury, redaktorem „Polski Walczącej” – wyłania się

wspomnieniowy fragment przedwojennego, rodzinnego Lwowa. Środowisko lwowskich poetów i uczestników wieczorów Kasyna Literacko – Artystycznego. **Stanisław Maykowski** i **Henryk Bald**, literaci mało znani współczesnemu odbiorcy, nie odnotowani w antologiach poetyckich. Kontekstowy charakter rozmowy, nieznane biogramy, szczegóły, nazwiska dopełnia komentarz na temat osiągnięć innowatorów poezji międzywojnia. Szczególnie tych, którzy odcisnęli swój ślad w krytycznych pracach interlokutora: **Józef Wittlin**, **Bolesław Leśmian**, poeci **Skamandra**. We wszystkich rozmowach przewija się refleksja o osobowościach, które wpłynęły na sposób przeżywania liryki przez humanistę. W komentarzu interlokutora przywołane zostaną krytyczne refleksje uczonych na temat Młodej Polski Lwowa i wyrastających z jej inspiracji wielkich projektów kultury polskiej. Nie bez znaczenia dla tego obrazu będzie zaznaczone w tym miejscu wspomnienie **Stanisława Brzozowskiego** autora *Legendy Młodej Polski*. Zasygnalizowana na marginesie wspomnieniowego komentarza, wydobyta po latach, mało znana czytelnikowi, lakoniczna reminiscencja na temat „lwowskiego zaśpiewu” **Irzykowskiego**, utrwalona w pamięci interlokutora i wspólnych rozmów z autorem „Pałuby”. W tle fragmentarycznej rozmowy uwagę zwraca krytyczna świadomość odbiorców i związany z gestem porządkującym wypowiedzi repetycyjny charakter komentarza o przeszłości w odniesieniu do tego, co już zostało przemyślane, wcześniej powiedziane, napisane. Zależność ta ujawni się w nawiązaniu autokomentarza do

londyńskiego odczytu, w którym **Tymon Terlecki** wzbogacił o nowe warianty terminologię periodyzacji modernizmu:

W odczycie, który miałem w Londynie, myślę, że zdołałem wylansować ten termin Młodej Polski lwowskiej. Bo jest Młoda Polska zakopiańska, Młoda Polska krakowska, Młoda Polska warszawska [...] [15].

Następny autokomentarz dopełnia wspomnienie przyjaźni humanisty z **Kazimierzem Wierzyńskim**, z czasów warszawskich, kiedy poeta był recenzentem teatralnym „Gazety Polskiej”.

W Polsce Wierzyński odnalazł mnie jako młodego, obiecującego literata we Lwowie, kiedy bardzo krótko redagował świetny tygodnik „Kultura” [...] [16].

I dalej sugestywny opis osobowości poety, który zaważył na kulturze duchowej rozmówcy:

Tu mógłbym tylko same banały opowiadać, jakie to było zjawisko nieodpartego uroku ludzkiego, męskiego, towarzyskiego. Wtedy w Zakopanem nawiązała się pewna

znajomość, jedna z tysięcy, jakie Wierzyński zawierał, bo on miał przy swojej męskości jakąś niesłychaną, nienasyconą, kobiecą zaborczość zjednywania sobie ludzi, czarowania zagarniania w cień swego uroku. Tam uległem temu urokowi[17].

To powoduje, że świat wartości poety nabiera cech dominujących, zdaje się być wszystkim, co dla niego ważne.

Dobór rozmówców wiąże się także z pytaniem o gest porządkujący, o sposób docierania do osoby twórcy. Odrębność rozmów – o czym wspomina we wstępie redaktor tomu – dotyczy stylu wypowiedzi, strategii ujawniania się „ja” mówiącego lub komentarzy, które mogą być wypadkową chwili, psychicznych predyspozycji interlokutora. Lektura tekstów skłania do namysłu czym były dialogi wtedy, czym są po wielu latach:

Doszedłem niemniej do przekonania, że coś się z nich ostanie, że nie wszystko się przedawni, że nieuniknione w takim przypadku niedociągnięcia i usterki kompensuje świeżość oraz spontaniczność wypowiedzi[18].

Świadomość tego, który pyta musi oddziaływać na idiosynkrazje bohaterów spotkań, którzy podejmują wysiłek nazwania rzeczy,

sproblematyzowania zjawisk i ich wyjaśnienia przy samoświadomości ograniczeń memuarystycznej pamięci. Ciekawość innej optyki widzenia rzeczy „z perspektywy Kraju” pojawia się w pytaniach kierowanych do wszystkich interlokutorów. Wydaje się, że starania pytającego inicjujące dialogi o poezji pozornie ustalają kierunkową rozmowy. Ale słowa odbijają się od słów, natłok dygresji, epizodów związanych z przeszłością wyzwala „swobodną grę wspomnień”[19] a interlokutorzy, odnotuje autor wstępu, wciągnięci zostaną w dialektykę sytuacji, gdy odpowiedź jest równoczesna z pytaniem. Pograniczny charakter rozmów, samoświadomość mówionego-pisanego nie zawsze towarzyszy funkcjonalistycznie czytany wywiad-rozmowom, w których czytelnik poszukuje informacji niedostępnych poza wyznaniowo-informacyjnym komentarzem, formułowanym w obecności Drugiego. Tak jest w wywiadzie z **Jerzym Pietrkiewiczem** komentującym osiągnięcia artystyczne kolegów po piórze. Interlokutorzy przypominają sylwetkę **Bogumiła Andrzejewskiego, Mariana Czuchnowskiego, Czesława Bednarczyka**. Interpretacje i poglądy poetów nabierają cech sugestywnych, nawet jeśli są tylko fragmentaryczną projekcją, nie obejmującą całości polskiego życia kulturalnego i duchowego w kraju i na emigracji.

Zebrane wypowiedzi zapewne stanowią źródło interesującego autokomentarza autobiograficznego, metatekstowego, historycznego. Znajdziemy tu wyczerpujące dyskursywne

komentarze. **Stanisław Barańczak** zapytany w Cambridge w 1983 roku o poetykę twórczości nowofalowej daje syntetyczny „miniwykład” na temat interesującego rozmówców ruchu programowego, ważnych, lirycznych głosów pokolenia i młodych kontynuatorów dykcji nowofalowej. Rolę czynnego rozmówcy przyjmuje autor *Korekty twarzy* w komentarzach dotyczących roli pism kulturalno-literackich, między innymi „Zeszytów Literackich”, tytułu integrującego środowiska pisarzy krajowych i emigracyjnych. Gest porządkujący charakteryzuje wypowiedzi **Julii Hartwig** i **Artura Międzyrzeckiego** współtworzących eseistyczny wywód na temat grup poetyckich międzywojnia i poezji powojennej widzianej w syntetycznym uogólnieniu i w perspektywie ważnych dat, które dają wgląd w przełomy polskiego życia kulturalno-literackiego. Przeważają w tym fragmencie pytania o dopełnienie w mozolnym docieraniu do obrazu nieznanego gospodarzowi przebywającego w tym czasie na emigracji. Pojawiają się pytania dotyczące politycznego, ekonomicznego i kulturalnego wizerunku Polski, który przechowała pamięć interlokutorów. Sposób prezentowania poglądów poetów, chłodnego ważenia racji rozmówców zmienia się, gdy pytający prosi o komentarz do sytuacji współczesnej środowisk poetyckich w Polsce. Tu spokój argumentacji nie może do końca przewyciężyć emocji związanych z troską o przetrwanie kultury narodowej, wartości moralnych, poszukiwania hierarchii wartości autentycznych, bez których liryka zdaniem dialogizujących poetów nie może się obyć. Mamy

zatem w antologii wywiadów do czynienia z problemowym uporządkowaniem i wspomnieniową „mitologiczną *genesis* świadomości bohaterów dialogów”[20].

Wywiady z pisarzem i dialogi poety z poetami w kontekście innych dokonań artystycznych humanistów dowodzą zainteresowania, wrażliwości emocjonalnej i potrzeby uczestnictwa emigracyjnego twórcy w życiu bieżącym kraju – przypominał Zbigniew Andres w szkicu *Z Kanady do Polski. O poezji Floriana Śmiei***[21]**.

Trudno dziś bowiem nie docenić informacyjnej roli dwuautorskich, samoświadomych autoanaliz i interpretacji, wpisanych w gest porządkujący, dociekań dość ważnych z punktu widzenia wiedzy o literaturze. W rezultacie tych spotkań otrzymujemy wcale nie mały kontekst wypowiedzeń biograficznych, socjologicznych i interpretacyjnych.

[1] Wszystkie cytaty za edycją: F. Śmieja, *Siedem rozmów o poezji*. Toronto 1990.

[2] Ibidem, s. 9.

[3] Ibidem.

[4] A. Głowczewski, *Poetyka i pragmatyka „rozmów z...”*, Toruń 2005.

[5] Ibidem s. 232.

[6] F. Śmieja, *Siedem rozmów o poezji. Słowo wstępne...*s. 10.

[7] Ibidem.

[8] F. Śmieja: *Siedem rozmów o poezji...*s. 9.

[9] Ibidem, s. 8.

[10] *Rozmowa pierwsza: z Tymonem Terleckim*, [w:] F. Śmieja: *Siedem rozmów...* s. 22.

[11] F. Śmieja, *Siedem rozmów o poezji. Słowo wstępne...*, s. 9.

[12] A. Łebkowska: *Rozmowy z pisarzem – analiza gatunku*, [w:] *Kryzys czy przełom. Studia z teorii i historii literatury*, pod red. M. Lubelskiej i A. Łebkowskiej, Kraków 1994, s. 175–18; A. Głowczewski: *Poetyka i pragmatyka „rozmów z ...”*, Toruń 2005; K. Maciąg: *W kręgu problematyki „pamiętników mówionych”*, Rzeszów 2001. S. Bereś: *Historia literatury polskiej w rozmowach XX-XXI wiek*, Warszawa 2003, s.13. B. Witosz: *Stylistyka prozy interlokucyjnej – uwagi wprowadzające*, [w:]

„Język Artystyczny”, t.13: *Interakcyjny wymiar dyskursu artystycznego*, pod red. B. Witosz, Katowice 2007, s. 109.

[13] F. Śmieja, *Siedem dialogów...*s. 9.

[14] *Rozmowa pierwsza: z Tymonem Terleckim*, [w:] F. Śmieja: *Siedem rozmów...*, s. 21.

[15] Ibidem, s. 16.

[16] Ibidem, s. 19.

[17] F. Śmieja, *Słowo wstępne...*, s. 9.

[18] Ibidem.

[19] Ibidem.

[20] M. Kurek, J. Ziarkowska, *Wstęp*, [w:] *Rzeczywiste i możliwe. Rozmowy z Florianem Śmieją*, Wrocław 2005, s. 9. Por. też: G. Maroszczuk, *Rzeczywiste i możliwe – rozmowy z Florianem Śmieją*, [w:] *Literatura polska w Kandzie. Studia i szkice*, pod red. B. Szałasty-Rogowskiej, Katowice 2010, s. 121-124.

[21] Z. Andres, *Z Kanady do Polski. O poezji Floriana Śmiei*, [w:] *Literatura polska w Kanadzie...*s. 112-115.

Rozmowa o poezji



Julia Hartwig, Warszawa 2006 r. fot. Włodzimierz Wasyluk.

14 lipca 2017 roku, będąc u swojej córki Danieli w Gouldsboro w Pensylwanii, zmarła poetka, eseistka i tłumaczka, Julia Hartwig. Od 1954 roku była żoną poety i tłumacza Artura Międzyrzeckiego, zmarłego w 1996 roku. Obydwoje byli parą

wybitnych twórców, którzy wnieśli duży wkład w rozwój współczesnej polskiej literatury.

Przypominamy rozmowę Floriana Śmieji, poety emigracyjnego, współtwórcy słynnej londyńskiej grupy poetyckiej „Kontynenty”, z Julią Hartwig i Arturem Międzyrzeckiem, która miała miejsce w Warszawie, w przeddzień wyborów 1989 roku. Zmiana sytuacji społeczno-politycznej w Polsce pociągnęła za sobą zmiany sytuacji poetów i poezji. Historyczna już rozmowa może być więc przyczynkiem do analizy nurtów literackich w powojennej literaturze, jest przekrojowa i obrazuje kondycję współczesnej poezji oraz jej różnorodnych uwarunkowań.

W 1989 roku zostało założone Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, które kontynuowało ideę Związku Zawodowego Literatów Polskich, powstałego z inicjatywy Stefana Żeromskiego. Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki byli współtwórcami Stowarzyszenia i bardzo zaangażowali się w jego działalność. W rozmowie pojawia się także aktualna wówczas sprawa powstania tej organizacji, gdyż dawała ona nadzieję na pełne poparcie dla polskich poetów i ich indywidualnej twórczości, zarówno w kraju, jak i za granicą. Bo literatura polska jest przecież jedna.

Redakcja

Wywiad wszedł w skład książki Floriana Śmieji p.t. „Siedem

rozmów o poezji”, wydanej przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1990.



Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki, fot. Cz. Czapliński.

Naród bez pamięci jest bezsilny, zaś bez autorytetów moralnych jest bezradny (Artur Międzyrzecki).

Florian Śmieja: Będziemy mówili o poezji powojennej widzianej z perspektywy Kraju. Ja byłem na Emigracji w czasie, kiedy w Polsce nastąpiły zmiany polityczne, a w konsekwencji również kulturalne, a więc i literackie. Niech

mi Państwo opowiedzą, jak wyglądały pierwsze lata po wojnie w poezji polskiej?

Artur Międzyrzecki: Pierwsze lata powojenne to była właściwie współobecność trzech pokoleń poetyckich. Działali jeszcze Skamandryci. Na Zachodzie obecni byli wtedy Lechoń, Wierzyński, Wittlin i Baliński. W Kraju – był Iwaszkiewicz, a po powrocie również Tuwim i Słonimski. Pokolenie Skamandrytów było więc jeszcze w komplecie. Z poetów pierwszej i drugiej Awangardy działali w Polsce Przyboś i Miłosz, który dopiero na początku lat pięćdziesiątych wybrał, jak to wtedy mówiono, wolność. Niewątpliwie pisali przywódcy tych dwu szkół. Zarówno więc na Zachodzie, jak i w Polsce przedstawiciele tych trzech formacji byli współobecni.

Nastąpił wtedy debiut tzw. pokolenia wojennego, takich poetów jak Tadeusz Różewicz czy Tadeusz Borowski, który później okazał się równie świetnym prozaikiem. Okres Stalina spowodował późniejsze objawienie się Zbigniewa Herberta, który wprawdzie jest nieco młodszy, ale także należy właściwie do wojennego pokolenia kombatantów. Nieporozumieniem jest wpisywanie go do tzw. pokolenia Współczesności. Tymoteusz Karpowicz, który działał we Wrocławiu, reprezentował tzw. poezję lingwistyczną. Obecne były poetki: Wisława Szymborska, Julia Hartwig, Anna Kamieńska. Koło roku 1956 mieliśmy debiut Jarosława M. Rymkiewicza współtworzącego tzw. nurt

neoklasyczny. Debiutował Stanisław Grochowiak, również przypisany do pokolenia Współczesności. Nie podaję kompletnych list, tylko nazwiska poetów wystarczająco wyrazistych, żeby określić co się działo.

Następnie jest Nowa Fala, a przede wszystkim dwaj poeci: Stanisław Barańczak i Ryszard Krynicki, przyjaciele z Poznania, zajmujący niewątpliwie pierwszoplanowe pozycje. Wymieńmy jeszcze Adama Zagajewskiego, Juliana Kornhausera. Wcześniej, koło roku 1954-55, Słonimski stał się niejako wyrazicielem opozycji obywatelskiej. Alianse układały się inaczej, nie wynikały z pokoleniowych przynależności. Przyjaźnie, które łączą poetów są i były związane z pewnymi postawami ogólniejszymi, Barańczak np. jest takim modelowym poetą o wspaniałej postawie moralnej. To nie są tylko sprawy poetyki. (...)

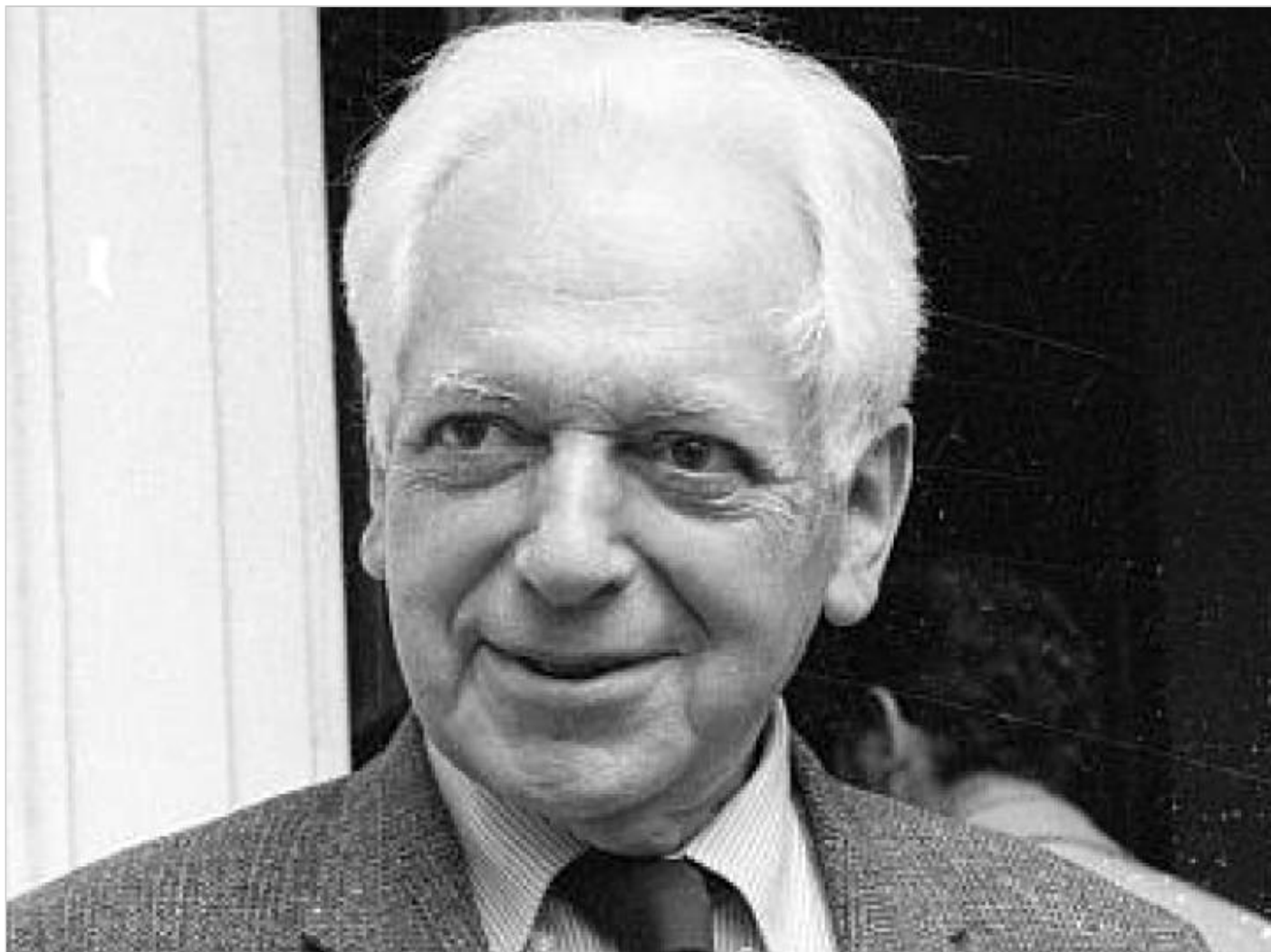
FS: Dorzućmy jeszcze nazwisko Jana Brzękowskiego z Awangardy Krakowskiej i Mariana Czuchnowskiego.

AM: Skoro mowa o okresach, o grupach poetyckich, wtedy pomija się nawet i znaczące nazwiska. Gdy mówiliśmy o pierwszej Awangardzie, zapomnieliśmy o Janie Brzękowskim, kiedy o drugiej, o Jerzym Zagórskim. Powojenne obecności poetyckie to również Wacław Iwaniuk i rozproszona później po świecie grupa londyńskich poetów, do której i Pan należał. To Adam Czerniawski, Bogdan Czaykowski czy Jerzy Sito, od lat

działający w Kraju. Wśród pokolenia Współczesności nie wspomnieliśmy o Erneście Bryllu. Nie wspomnieliśmy też o legendach poetyckich, a one są nośne. Były przecież meteory, które przeleciały przez niebo literatury. Mamy pisarzy, którzy stali się legendą. Wszyscy czterej skończyli tragiczną śmiercią. Mówię o Marku Hłasce, o Andrzeju Bursie, Rafale Wojaczku, o Edwardzie Stachurze. Trzeba o nich pamiętać. Mają ogromne oddziaływanie wśród młodych. I jeszcze o niesłychanym zjawisku odrębnym, autorze kilkunastu tomów poezji, męczenniku etymologii; który jak gdyby stworzył mówiony idiom poetycki, Mironie Białoszewskim. W innych wypadkach mówimy o kolokwializmach, w tym wypadku zachodzi tożsamość wyrazu poetyckiego i nowych warstw językowych. To był słuch językowy absolutny – i niebywała wrażliwość na szczegóły życia. I nie mamy do czynienia z czymś barbarzyńskim, Miron był zafascynowany poezją średniowieczną, Szekspirem i polską poezją romantyczną. Dał temu wyraz w swoim słynnym teatrze w kuchni. Później stał się ten teatr modny i teraz dopiero przedstawienia Mirona wystawiane są po raz wtóry, już w dużych teatrach, na dużej scenie. Miron Białoszewski był człowiekiem oddzielnym, stronił od życia publicznego. Był jednak solidarny ze środowiskiem. Kiedy dowiedział się np., że poeci nie biorą udziału w Warszawskiej Jesieni Poetyckiej, bo usunięto z tego festiwalu źle widzianych autorów, przyłączał się do bojkotu i – jak to określał – ogłaszał strajk. Ten samotny wędrowiec po Warszawie był zawsze tożsamy z tym, co robił. Fascynacja

poezją średniowiecza i Szekspirem łączyła się z urzeczeniem wywieranym przez wielkomiejski folklor. Tworzyło to niepowtarzalną jedność z życiem Mirona. Poza tym wielu poetów na świecie stara się o osiągnięcie ideału ubóstwa, tzw. poety ubogiego. W Stanach Zjednoczonych i zamożnych społeczeństwach Zachodu zjawisko jest wyraźne, to staranie się o obecność poza establishmentem, nawet literackim. Ale mało komu to się udaje. Miron to osiągnął. Był to człowiek nie poddający się żadnym blichtrom.

Julia Hartwig: Stosunkowo mało mówiliśmy o tradycjach poetyckich, na które powołują się nasi poeci, a poruszyliśmy właśnie przy Białoszewskim, który z pozoru jest taki kolokwialny i zdawałobyby wyrasta z gleby języka jak samorodek. Przy nim mówiliśmy, i słusznie, o poezji średniowiecznej i romantycznej. Inni, jak Jastrun czy Przyboś, nie tylko w swojej twórczości, ale i w esejach poetyckich, ukazywali drogi, jakie łączyły ich z kręgiem oddziaływania Norwida i Mickiewicza. Podobnie bez zaplecza poezji barokowej nie do pomyślenia jest twórczość Grochowiaka, czy Jarosława Marka Rymkiewicza. Pozostaje tu cała ogromna strefa do omówienia.



Artur Międzyrzecki, fot. dzieje.pl

AM: Przypomniało mi się spotkanie w Paryżu, w połowie lat sześćdziesiątych. Zetknęły się tam po latach różne światy, kiedy na zaproszenie wydawców antologii przyjechali Wierzyński, Miłosz, Przyboś, Iwaszkiewicz, Ważyk – dołączył do nas Herbert, który akurat bawił w Paryżu. Konstanty Jeleński i Brzękowski pełnili honory domu. Może o kimś zapomniałem. Ale to było spotkanie niezwykle, bo było spotkaniem przedstawicieli poezji polskiej. Niektórzy z tych poetów po raz pierwszy się

poznali. Pamiętam, że któregoś wieczora toczyli rozmowę Wierzyński z Przybosiem. Coś mnie tknęło i zapytałem: – Czy panowie się znali przed wojną?. – Ależ nie. Poznaliśmy się dopiero teraz. Te światy, bardzo różne, współobecne były w tym okresie.

W latach 1956-58 znajdowało to również wyraz w prasie literackiej. To były żywe pisma, które, niestety, szybko skończyły żywot. Zanim to nastąpiło, przeżywaliśmy okres integracji w życiu kulturalnym, żeby istniały np. fakty poetyckie, istnieć musi pewna integracja środowiska literackiego. Powiedział onegdaj J.J. Szczepański, prezes nowozałożonego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, że związki literatów nie są potrzebne literaturze, a szczególnie poezji. Natomiast poetom, tak. Ktoś musi ich drukować, muszą być jakieś hierarchie, jakieś osoby i instytucje, do których ma się zaufanie. Poza tym, w tradycji europejskiej, a w polskiej w szczególności, jest kawiarnia literacka, ognisko, gdzie ludzie się schodzą, mogą się zobaczyć. To wszystko znikło właściwie pod koniec lat sześćdziesiątych i ze stanem wojennym w 1981 r. Nastąpiło wówczas bardzo dotkliwe zniszczenie struktur życia literackiego, stowarzyszeń, czasopism, instytucji. Trudno to potem odbudować. Oczywiście, była taka przerwa w okresie stalinowskim, ale wtedy było to związane z ogólniejszym dramatem. Teraz było to zniszczenie struktur odbudowanych, tradycyjnych. Wobec tego powstał drugi obieg. I rozbudowało się czasopiśmiennictwo wynikłe z odporu

społecznego. Obecnie stoi z kolei przed nami sprawa integracji ogólnej, przede wszystkim autentycznego zespolenia literatury powstającej w Kraju i za granicą. Przecież to jest jedna literatura. W 1968 roku, kiedy mówiłem o niepodzielnej kulturze, stałem się czarną owcą. Ale jak daleko jesteśmy dziś od tamtych czasów! Jednakże – powtarzam – trudno odbudować to, co zniszczono. Nadal nie mamy autentycznego czasopiśmiennictwa literackiego, a Stowaryszenie, które powstało, a którego Pan jest członkiem, nie ma nawet pokoju, ani maszyny do pisania. Trzeba wszystko zaczynać od początku.

FS: Pani Julio, jak Pani się zapatruje na możliwości odbudowanego zdezintegrowanego środowiska poetyckiego? Pamiętam jeszcze Pani wieczór poetycki, nieomal konspiracyjny, który odbył się przy kościele na Nowym Rynku w czasie trwania stanu wojennego.

JH: Teraz wydaje mi się to wydarzeniem bardzo odległym, niemal historycznym, jesteśmy już na innym etapie. Zintegrowanie nie będzie wcale rzeczą łatwą, mimo że ludzie garną się do tworzenia wspólnoty pisarskiej, która zajęłaby należne sobie miejsce w naszej społeczności. Bardzo tego potrzebują. Trudności organizacyjne są ogromne, nie mamy jak dotąd własnego kąta, gdzie moglibyśmy się zebrać. Ale myślę, że i to osiągniemy. Natomiast integracja wewnętrzna to już coś innego, to wykracza poza przeszkody techniczne. Nie może ona

nastąpić tylko na zasadzie towarzyskiej czy przyjacielskiej. Wielki problem to - gdzie będziemy drukowali i jak będzie wyglądała prasa literacka. Mówiło się na spotkaniu pisarzy, że w Polsce czasopiśmiennictwo jest opanowane przez redaktorów i zespoły powołane do życia w szczególnym okresie i w szczególnym celu. Zadaniem tych zespołów było dokonanie pewnego rodzaju rewolucji kulturalnej, wyłonienie pewnej elity w miejsce starej, nieposłusznej, która reprezentowała ideały tradycyjnie przyświecające literaturze polskiej. W to miejsce próbowano stworzyć pseudowartości podporządkowane dezintegrującej polityce kulturalnej i o wyraźnie politycznym i antydemokratycznym charakterze. Usiłowano podważyć prawdziwe hierarchie pisarskie, atakowano pisarzy cieszących się uznaniem społecznym i drukujących często swoje utwory w prasie drugiego obiegu. W tygodnikach oficjalnych pojawiły się nazwiska często nie związane z literaturą, proveniencji czysto dziennikarskiej. Bez autentycznych czasopism literackich, bez wymiany opinii, życie literackie nie może być odbudowane. Mam nadzieję, że potrafimy to zrobić. Przychodzą tu na myśl inne jeszcze okoliczności: jest jak gdyby pewna lekkomyślność w traktowaniu literatury i kultury jako całości, jest skłonność do hołdowania zjawiskom najwybitniejszym, nie uwzględniając i nie wspomagając całokształtu zjawisk, na którym cały gmach kultury się opiera. Powtarza się trzy, cztery nazwiska, reszta pozostaje w cieniu. Dotyczy to różnych dziedzin sztuki, wyraźnie obserwuje się to również w poezji, która jest różnorodna i ma

zasięg o wiele rozleglejszy niż tych kilka dzieł „firmowych”. Mam tu pewne żale do krytyków i historyków literatury, że nie starają się brać udziału w ustaleniu prawdziwej hierarchii literackiej, w bronieniu pisarzy zagrożonych, szkalowanych lub przemilczanych, bo choć literatura w końcu sama się obroni, trzeba na to czekać zbyt długo, krzywdząco długo. Krytycy wycofali się jak gdyby na pozycje akademickie, a ich bezpośredni udział w odbudowie życia umysłowego byłby bardzo ważny.

Druga sprawa to miejsce pisarza w tym, co się w Polsce aktualnie dzieje. Kiedy pisało się do drugiego obiegu, wydawało się, że wszystko, co się tam publikuje, powinno być niesłychanie ważne z punktu widzenia społecznego i moralnego, bo skoro ludzie narażają się drukując te teksty, powinny być one godne takiego ryzyka. Mogło to być czasem paraliżujące dla autora, czasem stymulujące, cała bowiem strefa twórczości – choćby wiersze liryczne – ulegała autorskiemu samoograniczeniu. Jesteśmy nadal w podobnej sytuacji, choć minął już okres drugiego obiegu. To jednak będzie się powoli zmieniało. Niestety, oficjalne pisma literackie mają, jak już wspomniałam, nadal tę samą obsadę, co w okresie stanu wojennego, i pisarze, którzy z nimi nie współpracowali, nadal wstrzymują się od przesyłania tam materiałów. Pozostaje „Tygodnik Powszechny”, ale jest to czasopismo o określonym profilu i problematyce, z niewielkim stosunkowo marginesem na tzw. literaturę piękną. Miejmy nadzieję, że nowopowstałe Stowarzyszenie Pisarzy

Polskich potrafi sprostać zadaniom, jakie przed nim stoją, również w tej dziedzinie.

FS: Na sali zauważyłem wielu młodych ludzi...

AM: Owszem. Od nestora literatury po najmłodszych, z Kraju i z Zagranicy. Pan jest członkiem komitetu założycielskiego, członkiem założycielem jest również Czesław Miłosz i Gustaw Herling-Grudziński. I pisarze z Kraju od Andrzeja Kuśniewicza i Juliana Strykowski, aż do młodych poetów krakowskich, Bronisława Maja czy Jana Polkowskiego. Oczywiście, myślę, że i Adam Zagajewski i inni będą członkami tego Stowarzyszenia. Stanisław Barańczak został wybrany członkiem Zarządu przez Walny Zjazd Założycielski, i to też jest fakt znamieny. Od kilkudziesięciu lat z przerwami toczy się rodzaj wojny, którą administracja wydała inteligencji polskiej, zwłaszcza środowiskom twórczym, pisarzom. Przecież nie było takich przywódców, którzy by nie pomstowali na kawiarnię literacką. Dlatego, że tzw. kawiarnia pseudonimowała opinię publiczną. Istniała w Polsce tradycja kawiarni literackiej, tradycja na przykład Honoratki i innych kawiarni związanych z Powstaniem Listopadowym i Styczniowym. Dzisiaj wśród politologów używane jest pojęcie tzw. dziennikarstwa mówionego. Tego żaden reżim totalitarny nie lubi. I wojna przeciw inteligencji twórczej ustawała w pewnych okresach, w 1956 czy po 1970, kiedy następowały zmiany ekip, ale ten sam Gierek, który wołał,

żeby mu pomóc, kilka lat wcześniej też złożył tzw. kawiarni literackiej. Ale dlaczego o tym mówię? Dlatego, że wojna przeciw inteligencji twórczej osiągnęła swoje apogeum w czasie stanu wojennego, kiedy zlikwidowano wszystkie czasopisma i kiedy powstały inne. Nie waham się twierdzić, że niektóre z tych nowozałożonych czasopism prowadzone były przez pseudoliteracką kanalię, bo nie ma na to innego określenia.

Ci ludzie zajmowali się przede wszystkim personalnymi atakami przeciw pisarzom. To było ich zadanie, wykonują je do dzisiaj. Więc oczywiście jeżeli potrwa tendencja reformatorska, to i to się skończy, ale proszę zwrócić uwagę, że oni nigdy dotąd tego stanu wojennego nie odwołali. Więc czasopisma literackie się nie zmieniły. Stowarzyszenie, któreśmy założyli, jeszcze nie jest zarejestrowane. Oczywiście na najwyższym szczeblu nie będzie przeszkód, ale dlatego o tym mówię, że wojna jest również wojną psychologiczną, polega na odbieraniu otuchy. My mówimy i trzeba tak mówić, że nic nie może złamać poety, pisarza, że milczeniem nie można go zabić. Ale jednak można. Można w każdym razie bardzo osłabić jego wenę. Mówimy, że się pisze do szuflady. Doświadczenie pokazało, że szuflady bywają puste. Muszą istnieć tzw. motywacje społeczne. Jest takie określenie angielskie *lack of motivation*". Jeżeli powstaje taka sytuacja, to może nastąpić milczenie, przejście do działań politycznych. Ja nie mówię, że ci autorzy nie będą działać. Będą bardzo pożytecznymi działaczami społecznymi. Ale dla literatury okażą się często straceni, dlatego, że po prostu nie wystarczy im siła, żeby ją

kontynuować w milczeniu, niepewności czy rzeczywiście jest to konieczne, kiedy jest tyle nagłych potrzeb społecznych. I to jest oczywiście bardzo złe.



Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki na tarasie Domu Pracy Twórczej Literatów w Oborach, fot. Andrzej Szypowski, 12 X 1959 r. Zbiory Biblioteki Związku Literatów Polskich

Narody istnieją dzięki księdze i kulturze. Przetrwanie związane

jest nie z państwem, lecz z kulturą narodową. Ktoś powiedział, że nie byłoby Polski, gdyby nie Mickiewicz, Sienkiewicz, Żeromski czy Wyspiański. To jest lapidarnie powiedziana część istotnej prawdy. Dzisiaj względy moralne są niesłuchane ważne i po to prowadzi się wojnę przeciw inteligencji, żeby zniszczyć autorytety moralne w społeczeństwie. Zniszczenie autorytetów moralnych czyni naród bezbronnym. Powiada się, że naród bez pamięci jest bezsilny, zaś bez autorytetów moralnych jest bezradny. I na tym polega ta wojna. Przecież myśmy musieli walczyć o programy szkolne, gdzie umniejszano literaturę i umniejszano historię. Przecież cała historia Polski jest bardzo literacka, a literatura polska jest bardzo historyczna i polityczna. To jest ściśle związane. Myśmy się kiedyś zastanawiali nad tym – był wtedy Miłosz, był Zagórski i Ważyk – na takiej debacie w Łomży o poezji: co ją znamionuje? I doszliśmy do wniosku, że znamionuje ją wyostrzone poczucie historii. Poczucie toczącej się historii politycznej. To jest znamienne. Nie ma poety polskiego nietkniętego przez wydarzenia i to właśnie miał chyba na myśli Miłosz nazywając poetę polskiego barometrem. Ciekawe, że w stanie wojennym były ataki na poezję romantyczną ze strony administracji państwowej. Dzisiaj nie ma takich rozróżnień. Bo opozycja demokratyczna łączy w sobie tradycje organicznikowskie i tradycje romantyczne w sensie moralnym. Co do wojny z inteligencją twórczą: ta wojna musi być skończona żeby stworzyć normalne środowisko literackie, które by pozwoliło na normalne spory w obrębie literatury, na

normalne debiuty, i żeby oddać sprawiedliwość temu, kto na to zasługuje. Jednym słowem: żeby ustalić hierarchię wartości.

FS: Rozmawiamy w Warszawie w przeddzień wyborów - o poezji...

AM: My jesteśmy obydwój, Julia i ja, członkami Komitetu Obywatelskiego Solidarność. Część tego komitetu towarzyszy tzw. komisję kultury. Mówię o tym, bo pewne integracje personalne zostały dokonane, ale to nie zastępuje ogólnokrajowych instytucji literackich. Nam próbowano serwować, zamiast normalnego życia kulturalnego, rzeczy spektakularne i skandaliczne, np. na gruzach Związku Literatów miała być powołana administracyjnie Akademia. To tylko jeden przykład budowania fasad zamiast prawdziwego życia. I to musiało się skończyć, tak, jak się skończyło.

JH: Poruszyliśmy dużo problemów, dotknęliśmy szereg bolączek atakże wspomnieliśmy o niektórych naszych nadziejach.

Warszawa, wiosna 1989.

Florian Śmieja: „Siedem rozmów o poezji”, wyd. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1990.

Recenzja książki „Siedem rozmów o poezji” ukaze się na

Culture Avenue w czwartek 27 lipca 2017 roku.

Julia Hartwig, poetka, eseistka, tłumaczka poetów francuskich i amerykańskich, urodziła się w Lublinie w 1921 roku, zmarła w 2017 roku w Pensylwanii. Podczas wojny była łączniczką A.K. i uczestniczką podziemnego życia kulturalnego. Studiowała filologię polską i francuską na Uniwersytecie Warszawskim, Katolickim Uniwersytecie w Lublinie i w Paryżu. W 1954 roku poślubiła poetę i tłumacza, Artura Międzyrzeckiego. W latach 1970-1974, razem z mężem przebywała w Stanach Zjednoczonych, będąc uczestnikiem *International Writing Program*, a następnie wykładowcą Drake University. Prowadziła też wykłady na Uniwersytecie w Ottawie (1971) i Carleton University (1973) w Kanadzie. W 1979 roku ponownie przebywała w USA na zaproszenie Departamentu Stanu. W 1989 roku była członkiem Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie. Była członkiem Związku Literatów Polskich (1945-1983, w Zarządzie Głównym w latach 1980-1982), Polskiego PEN-Clubu (od 1956), Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (1989, wiceprezes w latach 1990-1999). Od 2008 była przewodniczącą jury Nagrody Mediów Publicznych Cogito w dziedzinie literatury pięknej. W 1995 roku powstał o poetce film dokumentalny pt. *Julia Hartwig* w reżyserii Adama Kulika i według jego scenariusza, a w roku 2003 następny pt. *Ułamki codzienności. Julia Hartwig* (scenariusz i

realizacja: Elżbieta Rottermund). W 2014 X Zjazd Stowarzyszenia Pisarzy Polskich wybrał ją na honorowego Prezesa Stowarzyszenia, a w październiku 2014 roku otrzymała Nagrodę Poetycką im. Wisławy Szymborskiej za książkę „Zapisane”. W 2015 roku Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu przyznał jej tytuł *doctora honoris causa*.

Swoje wiersze i artykuły ogłaszała w pismach: „Odrodzenie”, „Nowa Kultura”, „Świat”, „Nowe Książki”, „Poezja”, „Tygodnik Powszechny”, „Twórczość”, „Kresy”, „NaGłos”, „Zeszyty Literackie”, „Odra”, „Więź”, „Kwartalnik Artystyczny”.

Jej główne książki poetyckie to „Wolne ręce” (1967), „Chwila postoju”, „Dwoistość” (1971) i „Obcowanie” (1987). Monografie: „Apollinaire” (1961) i „Gerard de Nerval” (1973). Autorka „Dziennika amerykańskiego” (1980).

Artur Międzyrzecki, polski poeta, tłumacz literatury francuskiej i anglosaskiej, autor słów piosenek, działacz społeczny i polityczny, urodził się w Warszawie w 1922 roku, zmarł w 1996 roku tamże. Po wybuchu II wojny znajdował się we Lwowie, skąd został w 1940 roku zesłany przez Sowietów do Kazachstanu. W 1942 roku wstąpił do Armii Polskiej. Następnie jako żołnierz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie odbył cały szlak bojowy 2 Korpusu (Kampania włoska i Monte Cassino). Debiutował wówczas zbiorem poetyckim „Namiot z Kanady”.

Studiował w Bolonii i w Paryżu (literatura, nauki polityczne). Po powrocie do Kraju zamieszkał w Warszawie (1950). W latach 1956–1958 współredaktor „Nowej Kultury”, w latach 1965–68 „Poezji”. Publikował na łamach tygodnika „Świat”. W latach 1970–1974, razem z żoną, Julia Harwig, przebywał w USA. W latach siedemdziesiątych uczestniczył w pracach Centrum Dialogu (*Editions du Dialogue*) Księży Pallotynów w Paryżu. W latach 80. wspierał Solidarność.

Wybory wierszy ukazywały się w latach 1971, 1979, 1980, 1989. Podstawowy dorobek przekładowy i eseistyczny w „Dialogach i sąsiedztwach” (1971) i tomie „Rimbaud, Appolinaire i inni” (1988). Członek jury Międzynarodowej Nagrody Poetyckiej przyznawanej w Belgii (1958-). Wiceprezes Polskiego PEN Clubu (1978-) i prezes PEN-Clubu (1991-1996). Był członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Laureat m.in. Nagrody Literackiej PEN (1971), francuskiej Prix Annuel de Traduction (współ z Julią Hartwig, 1977), Fundacji im. Jurzykowskiego (1988) i „Literatury na świecie” (1989).

W 1992 r. wydał wraz z żoną Julią Hartwig antologię poezji amerykańskiej.

Ojciec był poetą katolickim

Barbara Gruszka-Zych

Rozmowa z Antonim Miłoszem - synem noblisty Czesława Miłosza o poszukiwaniu, Mszach łacińskich i szacunku.



Urodziny Czesława Miłosza, 30 czerwca 2017 r. w dworku w Krasnogrudzie. Od lewej: Barbara Gruszka-Zych, Toni Miłosz – syn Czesława Miłosza, Nikita Kuznetsov, Grzegorz Hajkowski, fot. Roman Koszowski.

Barbara Gruszka-Zych: Dwa lata temu na Festiwalu Miłosza w Krakowie ks. prof. Jerzy Szymik, który napisał pracę habilitacyjną o Pana ojcu, powiedział, że Czesław Miłosz jest największym poetą religijnym. Wiele osób zaprotestowało.

Antoni Miłosz: Mój ojciec był na pewno poetą katolickim. Gdyby nim nie był, nie napisałby listu do Jana Pawła II, w którym

prosił o potwierdzenie, że jego twórczość jest zgodna z doktryną katolicką. To nieprzeciętny gest, nie pamiętam takiego drugiego wypadku w historii, żeby autor zwrócił się do papieża z prośbą o imprimatur. Wysyłając swój list, w pewnym sensie prosił ojca świętego o rozszerzenie wachlarza tego, co teologia katolicka obejmuje, do tematów poruszanych w jego twórczości. Papież uznał, że twórczość mojego ojca nie odstępował od zasad teologii katolickiej. Bardzo ostrożnie i mądrze odpisał, że liczy się intencja poety. To było pojednanie z Kościołem przeprowadzone na bardzo wysokim poziomie.

BGZ: Czy ojciec z Panem o tym rozmawiał?

AM: Oczywiście... Ale rozmowa nie była nawet potrzebna. Rozumieliśmy się bez słów w tym temacie. Teologicznie ojciec stał na krawędzi myśli gnostycznej z elementami manicheizmu. Był bardzo skupiony nad pytaniem, skąd się bierze zło. Szukał wytłumaczenia w nauce Kościoła. Kiedy się rozmawia z ludźmi w Stanach, gdzie ojciec spędził długie lata, a ja mieszkam do dziś, ma się wrażenie, że zło jest wyłącznie brakiem dobra. Jednak ojciec uważał, że zło ma swoją siłę...

BGZ: To sprawa szatana...

AM: Oczywiście, uznawał, że szatan istnieje. Nie ma ogona, ale działa.

BGZ: Stany Zjednoczone i w ogóle Zachód to inny Kościół niż w Polsce.

AM: Kiedy w Ameryce mówi się „Kościół”, to nie myśli się wyłącznie o Kościele katolickim. Katolicy są tam w mniejszości. Czasem chodziłem z ojcem do kościoła. Pamiętam taką Mszę w Stanach, w kościele przy Uniwersytecie w Berkeley, z której musieliśmy wyjść. Były święta Bożego Narodzenia, a ksiądz na kazaniu opowiedział dowcip, że Pan Jezus przyszedł na świat w postaci kobiety. To było takie przypodobywanie się na siłę temu, co modne, nowoczesne. My z ojcem nie mogliśmy tego zaakceptować. Dlatego też nie podobają mi się Msze z gitarami. Nie lubię, kiedy Kościół stawia się w pozycji proszącego wiernych, żeby do niego przychodzili, przyciągając ich różnymi atrakcjami. Zupełnie inną Mszę przeżyliśmy z ojcem w Bretanii, w miasteczku Pornic. Miałem wtedy chyba 10, 11 lat. Weszliśmy do malutkiego kościoła, gdzie Eucharystię po łacinie sprawował gruby, widać lubiany przez parafian, ksiądz. Pochylał się nad ogromnym mszałem, którego litery można było zobaczyć z ostatniego rzędu. To była Msza śpiewana. Wszyscy zgromadzeni w kościele modlili się z takim skupieniem, że stworzyliśmy razem prawdziwą wspólnotę. Duch Święty był wśród nas. Nawiasem mówiąc, szkoda, że łacina nie stała się językiem Unii Europejskiej. To język, który przez stulecia bardzo dobrze nam służył. Dla mnie Msza po łacinie istnieje na poziomie ponadnarodowym. Teraz Msze w językach narodowych mają

w dużej mierze swoją specyfikę, może zbyt lokalną.



Czytanie „Traktatu teologicznego” Czesława Miłosza, z okazji urodzin noblisty, 30 czerwca 2017 roku w Krasnogrudzie. W środku Toni Miłosz, fot Barbara Gruszka-Zych.

BGZ: W dzieciństwie modlił się Pan po łacinie?

AM: „Pater noster” mówiłem w kościele. Nauczyłem się modlitw w różnych językach. „Ojcze nasz” mówiłem najpierw po polsku.

BGZ: Czy udział we Mszy św. był ważny dla Pana ojca? Wiem, że w Krakowie modlił się w kościele św. Idziego pod Wawelem.

AM: Tak, rzeczywiście. W Berkeley było kilka kościołów, do których ojciec chodził. Najczęściej na Mszę wybieraliśmy się do kościoła uniwersyteckiego.

BGZ: Jan Paweł II powiedział, że kiedy Pana ojciec robił w swojej wierze jeden krok do przodu, to zaraz potem cofał się o dwa kroki.

AM: Papież jako człowiek był podobny do ojca. Był czuły na drugiego. Rozumiał, że w sztuce jest konieczne nieustanne poszukiwanie.

BGZ: Czy Pana ojciec był samotny w Berkeley? Kiedy pisał „Ziemie Ulro” czuł otaczającą go pustynię duchową.

AM: Czuł się tam samotny na samym początku. Kiedy przyjechał do Stanów, był negatywnie nastawiony do Ameryki. Kilka lat zajęło mu odkrycie wartości tego społeczeństwa. Tak naprawdę przełamał się pod koniec lat 60., kiedy poznał bardzo zdolnych studentów i tamtejsze środowisko. Docenił amerykańskie społeczeństwo za jego nieustanne dążenie do demokracji, która jest mu wpajana historycznie jako podstawowa zasada istnienia. Kiedy w 1978 r. wydał „Ziemie Ulro”, wychodził z samotności. Wtedy coraz częściej odwiedzali go ludzie z Polski, a amerykańscy poeci przyjęli go bardzo serdecznie i uznali za jednego z nich. Mimo że jego wiersze czytali w tłumaczeniu,

widać było, że jego twórczość bardzo do nich przemawia. Na jego spotkania autorskie, nawet przed Noblem, przychodziły tłumy.

BGZ: A więc mówienie, że on – samotnik chował swoje wiersze do dziupli starego drzewa, było przesadą?

AM: To tworzenie mitu.

BGZ: Jaki miał Pan stosunek do pisania ojca?

AM: Jako dziecko nie wiedziałem, że ojciec pisze. Po prostu zamykał się w gabinecie i pracował. Dla mnie ojciec był autorytetem, ale jego wiersze nie od razu do mnie przemawiały. Kiedy byłem mały, krępowało mnie, kiedy czytał je gościom przychodzącym do domu. Za to bardzo lubiłem, kiedy w domu czytał nam – swoim synom, utwory Mickiewicza. Chciał, żebyśmy poznawali piękną, polską literaturę i cieszyli się nią.

BGZ: Może czytał wam „Ballady i romanse”, tak jak mnie mój tata?

AM: Tak właśnie! Akurat to... I to mi zostało jako taki bardzo istotny grunt. To był język polski bardzo dobrej jakości. Ojciec czytał nam też powieści, które sam pochłaniał jako mały chłopiec. Na przykład Karola Maya. To autor w ogóle nieznany

w Ameryce czy we Francji. Za to wszyscy Polacy wiedzą, kto to był Winnetou i Old Shatterhand.

BGZ: Jaki wiersz ojca Pan lubi?

AM: „Rzeki”, do którego ułożyłem muzykę i pod tym tytułem wydałem płytę. To głęboki tekst, dający mocny, metaforyczny obraz rzeczywistości jako rzeki.

BGZ: A jak to było z tłumaczeniem tekstów biblijnych przez Pana ojca? Wyjaśniał, że tylko w oryginale mógł je naprawdę zrozumieć.

AM: Tak mówił. W księgozborze ojca były też teksty po grecku i hebrajsku. Stanowiły zaplecze do jego badań historii duchowej ludzkości. To nic dziwnego, że wrócił do źródeł. Nie cenił szczególnie już istniejących starych tłumaczeń Biblii na język polski, uważając je za niewierne, ale też nie dostrzegał zbyt ciekawych przekładów nowoczesnych. Dlatego sam zabrał się za tłumaczenie niektórych tekstów.

BGZ: Czy to zmieniło jego podejście do wiary, obudziło religijność?

AM: To nie było tak, że kiedy zaczął tłumaczyć Biblię, nagle stał się bardziej religijny. On w gruncie rzeczy zawsze był poetą

mistycznym.



Odnowiony dwór Czesława Miłosza w Krasnogródzie, na Podlasiu, koło Sejny.

BGZ: Niektóre środowiska zarzucają Pana ojcu bycie bardziej Litwinem niż Polakiem.

AM: To smutne wytykanie, że nie był wyłącznie patriotą polskim. Trzeba wziąć pod uwagę, że urodził się jakby w Wielkim Księstwie Litewskim. Dlaczego więc miałby nie kochać też Litwy? Ale przecież był poetą polskim i pisał po polsku. Patriotyzm różni się od nacjonalizmu. Patriotyzm jest na „tak” wobec własnego narodu, a nacjonalizm na „nie” wobec innych. Żaden nacjonalizm nie jest zdrowy. Jak można współżyć z innymi

nacjami, będąc nacjonalistą? To śmieszne zarzuty. Stawiają je ludzie, którzy zapominają, ile milionów ludzi zginęło w XX w. właśnie przez różne nacjonalizmy i nie potrafią się wyrzec tego sposobu myślenia. Ojciec uważał, że musimy współżyć z sąsiadami, stanąć trochę wyżej i pamiętać, że wszyscy jesteśmy dziećmi tego samego Boga. Jeśli nie odrzucimy drobnych, ale też i trudnych, dzielących narody spraw, to nie ma żadnej przyszłości dla ludzi na tej ziemi. Sprytni politycy, aby zdobyć władze, manipulują, przekręcając zdrowy patriotyzm ludzi w paranoje, nacjonalizm i nienawiść. Myślę, że młode pokolenia, które bardziej troszczą się o przyszłość naszych losów na ziemi, powoli odchodzą od tego i nie dadzą się już tak łatwo wkręcić w nacjonalizmy i modne w niektórych środowiskach faszyzmy. Nacjonalistami zostaną wtedy jedynie niereformowalni, starzy ludzie.

BGZ: Co dla Pana ojca było w życiu najważniejsze?

AM: Zawsze powtarzał cytaty z Goethego, że najważniejszy jest „Szacunek, szacunek, szacunek”. Uważał to za zasadę – mieć szacunek do świata i ludzi. To jest podstawowa prawda naszej religii, dlatego warto to przemyśleć.

BGZ: To ciekawe. Bo wiele osób postrzegało pana Czesława jako człowieka, który czasem ostro, nieprzewidywalnie reagował na ludzi.

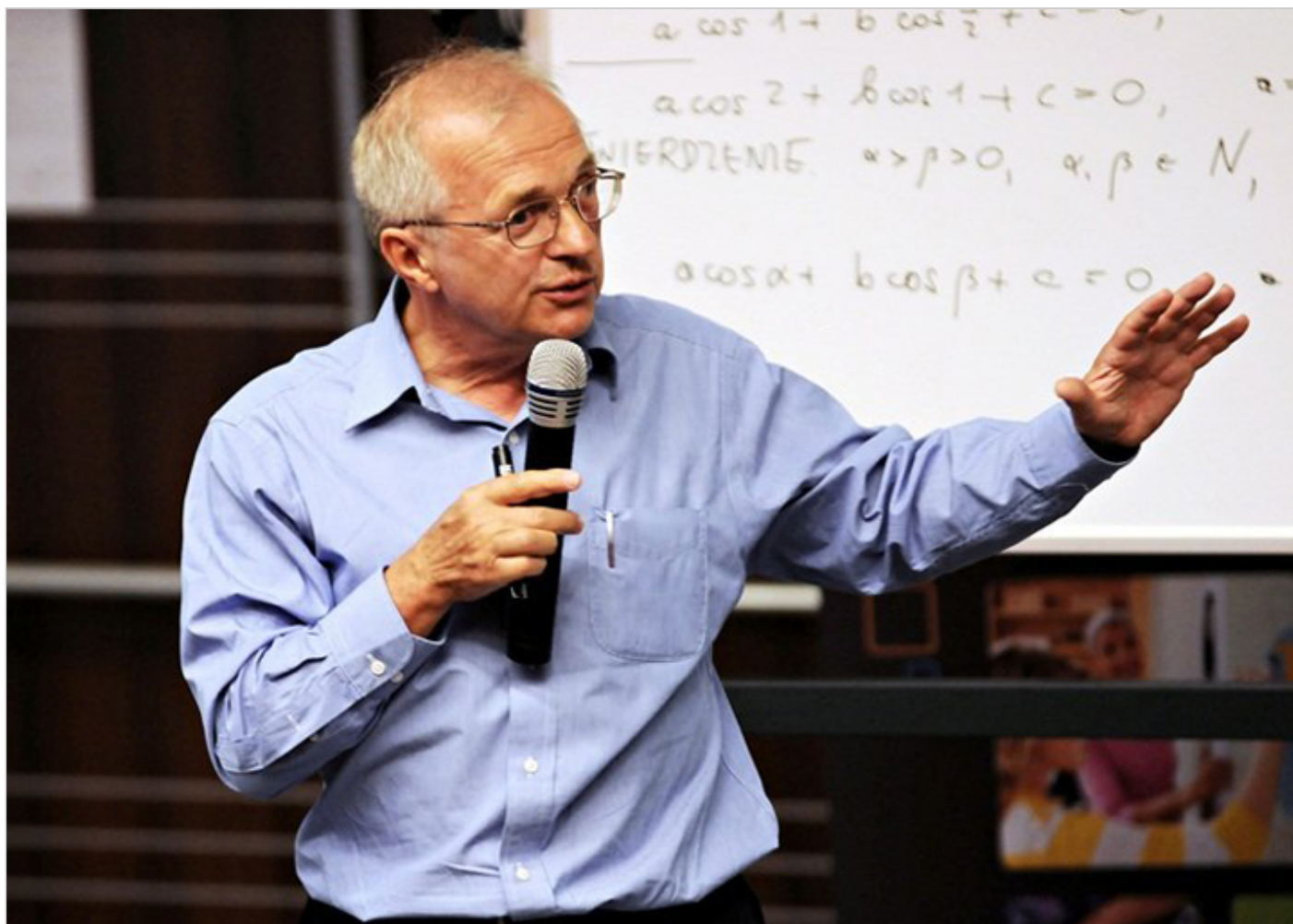
AM: Ale to nie znaczy, że nie miał do nich szacunku.

„Gość niedzielny”, 26/2017 r.,

<http://gosc.pl/>

Matematyka to moja miłość!

Rozmowa z HENRYKIEM IWAŃCEM, profesorem matematyki na Rutgers University w stanie New Jersey w USA, laureatem „matematycznego Nobla”, czyli prestiżowej nagrody The Shaw Prize 2015, którą otrzymał 24 września 2015 roku w Hongkongu za swoją działalność naukową.



Henryk Iwaniec, fot. portEl.pl

Janusz Szlechta: Pytać matematyka to trudna sprawa, a pytać mąd

rze to już prawdziwa sztuka. W takim razie zapytam Pana o coś banalnego, w myśl zasady, że nie ma głupich pytań: czy dostał Pan kiedyś w szkole dwóję z matematyki, ale nie za to, że zapomniał Pan zeszytu lub odrobić pracę domową, bo to każdemu może się zdarzyć, ale za źle rozwiązane zadanie?

Henryk Iwaniec: W szkole podstawowej, w której uczyłem się w Elblągu, a skończyłem ją w roku 1961, nie interesowałem się matematyką. Nie przypominam sobie nic takiego, co dotyczyłoby tego pytania. Potem kontynuowałem naukę, razem z bratem bliźniakiem Tadeuszem, w technikum mechanicznym, też w Elblągu. Wówczas obaj zainteresowaliśmy się matematyką. Najpierw uczestniczyliśmy w szkolnych zawodach matematycznych, potem w tych na wyższym szczeblu, już w Gdańsku. Na Politechnice Gdańskiej działało kółko matematyczne i szkoła wysyłała nas raz w miesiącu na te zajęcia.

Kiedy byliśmy w trzeciej klasie, zaczęliśmy brać udział w olimpiadach matematycznych. No i od razu zaczęliśmy odnosić sukcesy. Naszym nauczycielem matematyki był Andrzej Wendecker – wspaniały człowiek i pedagog. Miał taki zwyczaj, że jak brał ucznia do odpowiedzi, to kładł na stole jego zeszyt. Kiedy uczeń udzielał złych odpowiedzi lub w ogóle nie potrafił odpowiedzieć, stopniowo przesunął zeszyt ku brzegowi stołu, aż do momentu, kiedy spadł na podłogę. Wówczas wiadomo było, że uczeń otrzymywał dwóję! Wyglądało to dosyć kolorowo i dramatycznie. O ile pamiętam, mój zeszyt nigdy nie leżał na podłodze.

Po pewnym czasie nauczyciel już nic ode mnie i od brata nie wymagał, nawet prac domowych nie musieliśmy odrabiać. Jak była klasówka, to prosił nas, abysmy wyszli z sali i nie

przeszkadzali kolegom. Wszyscy to rozumieli po naszych sukcesach na olimpiadach. Mieliśmy wtedy czas na to, aby odrabiać pracę domową z innego przedmiotu czy też przygotować się na następną lekcję, na przykład z języka polskiego. Praktycznie więc przestaliśmy brać udział w lekcjach matematyki. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek otrzymał dwóję z matematyki.

JSz: Jest Pan absolwentem technikum mechanicznego w Elblągu. Chciałbym się upewnić, czy to właśnie wtedy narodziła się w Panu miłość do matematyki?

HI: Tak. O Einsteinie i jego teorii względności dowiedzieliśmy się z bratem jeszcze w podstawówce z Encyklopedii Powszechnej – zafascynowało nas to, ale oczywiście nic z tego wówczas nie rozumieliśmy. Po sukcesach na olimpiadach matematycznych zaczęła w nas kiełkować fascynacja, a potem – jak to pan określił – miłość do matematyki. U nas w domu nie było tradycji naukowych, matematyka jawiła się jako coś abstrakcyjnego, nieosiągalnego, więc gdyby nie nauka w technikum i olimpiady, to na pewno nie zostalibyśmy matematykami.

Muszę jednak podkreślić, że rodzice, a szczególnie mama, stwarzali nam świetną atmosferę do nauki, zachęcali i okazywali wiarę w nas. W szkole już niewiele mogliśmy się nauczyć, więc tak naprawdę zaczęliśmy studiować matematykę na własną rękę.

Poznaliśmy dzięki temu piękno rozumowania teoretycznego i abstrakcyjnych pojęć. W pewnym momencie zgłębiłem pojęcie funkcji ciągłej. Potem przyswoiłem sobie ogólną definicję ciągłości, gdzie nie wymaga się pojęcia metryki czy dystansu między punktami – obowiązuje tu zasada algebry zbiorów otwartych oraz zamkniętych i tworzonych na nich funkcji. Zafascynowała mnie wówczas potęga umysłu ludzkiego, że można zdefiniować takie pojęcie jak ciągłość, nie używając w ogóle metryki, tylko teorii zbiorów. Dobrze się stało, że przyszło to we właściwej kolejności: najpierw bowiem nauczyłem się klasycznej definicji ciągłości i porządnie to opanowałem, a potem dostrzegłem piękno w abstrakcji. To przychodzi samo i dobrze, że tak się dzieje. Dzisiaj mówię do moich studentów: samo słuchanie wykładów to jest za mało, to trzeba przeżyć samemu, zagłębić się w to, zafascynować.

JSz: Pana brat bliźniak, Tadeusz, też jest dzisiaj znanym i cenionym matematykiem w USA. Czy wspólnie zdecydowaliście, że matematyka to jest to, co dla was jest najlepsze? Czy spieraliście się w przeszłości, gdy przychodziło wam rozwiązywać matematyczne problemy?

HI: Uczyliśmy się w technikum mechanicznym, więc logika by nakazywała, abyśmy podjęli studia techniczne i zostali inżynierami. Rodzice chcieli, abyśmy podjęli studia na politechnice, bo tam zdobywa się dobry zawód. Ale nasze

sukcesy na olimpiadach matematycznych oraz to, że matematyka nami zafascynowała, sprawiły, że wybór studiów i naszej przyszłości był właściwie przesądzony.

Nigdy z bratem nie miałem „matematycznych potyczek”, czyli nie było takiej sytuacji – nic takiego nie pamiętam – abyśmy się sprzeczcali nad zadaniami czy problemami, które przyszło nam rozwiązać. Natomiast chętnie dyskutowaliśmy, zadawaliśmy sobie nawzajem pytania i próbowaliśmy znaleźć odpowiedź.

JSz: Czy to oznacza, że nie rozmawialiście na przykład o dziewczynach, tylko o matematyce?

HI: No nie, aż tak źle nie było. Rozmawialiśmy o wszystkich naszych codziennych problemach. Zdarzało się nam też, że chodziliśmy na fajne imprezki. Bardzo mi się spodobało, jak ktoś z Elbląga napisał o nas na swoim portalu: „Fajne chłopaki byli”.

W klasie było sympatycznie, lubiliśmy się. Wielu naszych kolegów odnosiło sukcesy w różnych dziedzinach, a niektórzy byli nawet świetnymi polonistami. Edward Łuczyński jest teraz profesorem polonistyki na Uniwersytecie Gdańskim. Inny kolega pasjonował się malarstwem, bez przerwy opowiadał nam o kubizmie. Waldek Ryś był świetnym łyżwiarzem szybkim. Potem trenował swoją siostrę Erwinę, która zdobyła wielokrotnie mistrzostwo Polski, była medalistką mistrzostw Europy i świata.

Adam Giersz miał sukcesy w tenisie stołowym, kilka lat temu był ministrem sportu. W naszej klasie nie było konkutowania, zazdrości, a raczej wzajemnie się dopingowaliśmy i podkrećali.

JSz: Widziałem zdjęć, na którym Pan i brat gracie na gitarach. To było chwilowe zauroczenie muzyką, czy coś poważniejszego?

HI: W pewnym momencie zapisałem się do kółka muzycznego, interesowałem się też malarstwem i elektrotechniką. Warunków fizycznych dla uprawianiu sportu nie miałem, ale raz udało mi się skoczyć w dal ponad 5 metrów. Podczas zajęć w kółku muzycznym nauczyłem się czytać nuty, a potem z bratem grywaliśmy sobie od czasu do czasu, ale zupełnie po amatorsku. To była fajna zabawa, odskocznia od codziennego zagonienia, bo zajęć w szkole mieliśmy sporo i trzeba było naprawdę dużo czasu poświęcać na naukę. Bardzo lubię muzykę, ale nie mam talentu muzycznego. Gitara do dziś leży w pokoju, spoglądam na nią od czasu do czasu, ale od dawna nie gram. Brat grał o wiele dłużej i lepiej, muzyka w pewnym momencie go pochłonięła. Grał nawet etiudy Heitora Villa-Lobosa, co oznacza, że osiągnął naprawdę przyzwoity poziom.

JSz: Razem z bratem skończył Pan studia matematyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Potem przyszedł czas na doktorat, habilitację... Jak wyglądało to Pana wspinanie się po drabinie naukowej?

HI: Miałem to szczęście, że po pierwszym roku studiów uczestniczyłem w wykładach prof. Andrzeja Schinzla w Instytucie Matematycznym Polskiej Akademii Nauk. To znakomity naukowiec, który wywarł na mnie wielki, bardzo pozytywny wpływ. Na uniwersytecie poznałem Kasię, która studiowała ze mną na jednym roku; zaraz po studiach pobraliśmy się.

Na IV roku miałem już oddane do druku dwie prace naukowe. Wydział Matematyki UW otworzył mi przewód doktorski, właśnie na podstawie tych dwóch prac. W Polsce byłby to ewenement, swoisty „Raising Star”, gdybym obronił doktorat przed uzyskaniem magisterium. Według przepisów, jest to możliwe, ale trzeba mieć odpowiednie kwalifikacje, musi być też ktoś, kto promuje takiego człowieka. Ostatecznie nie doszło do tego z banalnego powodu – musiałem zdać egzamin z filozofii marksistowskiej.

Mieliśmy kurs filozofii marksistowskiej na wydziale, ale wymagania odnośnie doktoratu były inne. Udałem się do prof. Władysława Krajewskiego, aby umówić się z nim na ten egzamin. Przekazałem mu list od Rady Wydziału. Po jego przeczytaniu zapytał mnie, czy chodziłem na wykłady. Odpowiedziałem, że... nie. A on na to: „Hm, to będzie trudno”. Był dla mnie bardzo życzliwy. Powiedział, że da mi materiały do przeczytania, a potem przyjdę na egzamin, kiedy uznam, że jestem gotowy, a on

będzie mnie pytał z tych właśnie materiałów. Dał mi kilka książek i broszur do przeczytania.

Po sześciu miesiącach, kiedy już obroniłem pracę magisterską i podjąłem pracę w Instytucie Matematyki PAN, postanowiłem pójść na ten egzamin. „Przejrzałem te materiały” – powiedziałem skromnie. Nie czułem się mocny w tej filozofii. Profesor najpierw zadał mi pytanie, co to jest solipsyzm. Coś tam mu odpowiedziałem, bo kiedyś czytałem na ten temat. Potem zapytał, czy lubię fizykę. Odpowiedziałem, że tak. „No to co to jest zasada nieoznaczoności Heisenberga?” – zapytał. Oczywiście odpowiedziałem starając się utrzymać ten temat egzaminu jak najdłużej. Chyba wyczuł moje intencje, bo wtedy stwierdził: „Wie pan, jednak to musi być egzamin z filozofii marksistowskiej, muszę panu zadać pytania z tej dziedziny”. Zapytał mnie, jaka jest różnica między materializmem a empiriokrytycyzmem według Plechanowa i... wysiadłem kompletnie. Wtedy profesor zapytał: „Czy to będzie fair, jak uśrednię panu ocenę za te trzy pytania?”. No i zdałem. Dzięki temu w marcu 1972 roku obroniłem doktorat, czyli 8 miesięcy po uzyskaniu magisterium.

JSz: Czym wówczas się Pan zajmował jako pracownik Instytutu Matematycznego Polskiej Akademii Nauk?

HI: Analityczną teorią liczb, bo to była moja specjalizacja. Zacząłem się w tym specjalizować już na drugim roku studiów.

Profesor Schinzel, który nie pracuje w tej dziedzinie, ale ma dużą wiedzę, dał mi wolną rękę. Widział, że nie potrzebuję żadnej pomocy. Habilitację zrobiłem w roku 1976, cztery lata po doktoracie. Nie było to jakieś szalone tempo, ale nie ma co ukrywać, że wspinałem się po tej drabinie dużo szybciej niż moi koledzy. Brat Tadeusz też szybko zrobił doktorat. Moja żona Kasia obroniła doktorat parę lat po mnie.

To, co robiłem, znalazło szybko oddźwięk za granicą. Miało to znacznie większy wpływ na moją biografię niż terminy, w których to się wydarzyło. Najpierw wyjechałem do Wielkiej Brytanii, aby prowadzić odczyty w Nottingham, Cambridge i w Cardiff. Bardzo słabo mówiłem wówczas po angielsku, bo w technikum uczyłem się tylko rosyjskiego.

Szybko zrozumiałem, że bez angielskiego nie mam żadnych szans na sukces międzynarodowy. Zacząłem więc uczestniczyć w wielu bardzo intensywnych kursach języka angielskiego. Nie mam, niestety, zdolności do języków. Miałem nawet „dziurę” w pracy naukowej, bo absolutnie poświęciłem się nauce angielskiego. W roku akademickim 1976/77 pojechałem do Scuola Normale Superiore di Pisa we Włoszech na stypendium Accademii Nazionale dei Lincei. Co ciekawe, to nie języka włoskiego tam się nauczyłem, lecz poprawiłem swój angielski, bo współpracowałem z Kanadyjczykiem Johnem Friedlanderem, z którym spędzałem większość czasu. To mi bardzo pomogło, bo rozmawiałem z nim

wyłącznie po angielsku. Pobyt we Włoszech otworzył mi okno na świat. Do dziś John, który jest profesorem na Uniwersytecie w Toronto, jest moim głównym współpracownikiem i bliskim przyjacielem.

JSz: Zaczął się Pan otwierać na świat, ale i świat stanął przed Panem otworem. Kiedy i dlaczego wyjechał Pan do Stanów Zjednoczonych?

HI: To nie nastąpiło tak szybko. Najpierw pojeździłem trochę po Europie. W Instytucie Matematycznym PAN nie było obowiązku uczenia studentów, więc łatwiej było wyjechać gdziekolwiek, jeśli był powód. Należy jednak pamiętać, że w czasach PRL-u bardzo trudno było zdobyć papiery upoważniające do wyjazdu. Byłem w Szwecji, Holandii, Finlandii, Niemczech, Związku Radzieckim, wiele razy we Francji i w Anglii. Prowadziłem seminaria i wykłady na konferencjach naukowych. W 1979 roku zostałem zaproszony do Bordeaux, gdzie przez rok prowadziłem wykłady dla doktorantów. Francuskiego troszeczkę złapałem, ale tak naprawdę trudno było mi się porozumiewać w tym języku. Był to jednak dla mnie duży przełom zarówno w życiu osobistym, jak i zawodowym. Złapałem bliski kontakt z matematykami francuskimi w mojej dziedzinie badań, co zaowocowało potem długą współpracą. Francuzi docenili moją pracę i 10 lat temu otrzymałem nawet tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu w Bordeaux.

Do Stanów Zjednoczonych wyjechaliśmy we wrześniu 1983 roku. Nie miałem wówczas żadnych ukrytych planów, aby zostać w tym kraju na stałe. Otrzymałem bardzo prestiżowe zaproszenie na rok do Instytutu Badań Zaawansowanych w Princeton. Amerykanie uruchomili specjalny program matematyczny z mojej dziedziny i właśnie mnie zaproszono do realizacji tego programu, jako że już byłem osobą dosyć dobrze znaną w świecie matematycznym. Był to decydujący argument dla mojego szefostwa w PAN, aby mnie puścić. Uznano, że jest to zaproszenie równoznaczne z tym, jakby polską primadonnę zaproszono do Metropolitan Opera w Nowym Jorku.

Tuż przed wyjazdem do USA, wiosną 1983 roku, zostałem promowany na profesora. W Belwederze uścisnął mi dłoń prof. Henryk Jabłoński, ówczesny przewodniczący Rady Państwa. Rodzina czekała na mnie za płotem, bo nie pozwolili im wejść do środka. W tym samym roku, też przed wyjazdem, zostałem członkiem korespondencyjnym Polskiej Akademii Nauk.

Do Stanów przyjechałem z żoną i dwiema córkami: Ania miała 5 lat, a Irenka - 10. Po roku chciałem wracać do Polski, ale dostałem kolejne zaproszenie z Michigan University w Ann Arbor. Pracował tam już mój brat Tadeusz, który wcześniej otrzymał zaproszenie z tego uniwersytetu. Nie było w tym żadnych kombinacji, żadnej konspiracji, to był zupełny przypadek. W Michigan pracowałem tylko przez jeden semestr

letni i chciałem wracać do Polski. Wówczas doszliśmy z żoną do wniosku, że może by jednak troszkę dłużej zostać w Stanach ze względu na dzieci.

Pozwoliło nam zostać kolejne zaproszenie na jeden semestr, które otrzymałem z Uniwersytetu Kolorado w Boulder. Otrzymałem tytuł „Ulam Distinguish Visiting Professor”. Prof. Stanisław Ulam z Polski, który pracował na Uniwersytecie w Boulder, to znakomita postać. Był przedstawicielem lwowskiej szkoły matematycznej, a potem współtwórcą amerykańskiej bomby termojądrowej. Niestety, zmarł kilka miesięcy przed moim przyjazdem do Boulder.

Praca na Uniwersytecie Kolorado to był dla mnie i dla mojej rodziny piękny czas. Wówczas zacząłem myśleć zdecydowanie o powrocie do Polski. Tym bardziej że zaczął się o mnie dopominać Instytut Matematyczny PAN w Warszawie. Domagali się, abym wracał.

W tym czasie otrzymałem jednak kolejne zaproszenie – tym razem z Uniwersytetu w Teksasie. Napisałem list, że chętnie podejmę u nich pracę w jednym semestrze – wiosną 1985 roku. Następnego dnia, po wysłaniu tego listu, otrzymałem zaproszenie z Institute for Advanced Study w Princeton na 3 lata – czyli z tego samego Instytutu, w którym podjąłem pierwszą pracę w USA. Po namyśle stwierdziłem, że nie jadę do Teksasu,

tylko do Princeton. Nie było wówczas internetu, więc zadzwoniłem do Teksasu i poprosiłem, aby zniszczyli mój list przed otwarciem, kiedy go otrzymają. I udało się. Zacząłem negocjować z Warszawą, aby wyrazili zgodę na mój dalszy pobyt w USA, co było naprawdę trudne. Musiałem aplikować o zwolnienie z pracy w IMPAN. Ostatecznie wylądowaliśmy znowu w Princeton. Tutaj zapuściliśmy korzenie. Dzieci uczyły się w amerykańskich szkołach, a ja miałem wyśmienite warunki do pracy.

JSz: Pana żona jest doktorem matematyki... Czym ona zajmowała się w tym czasie?

HI: Kasia nie miała jeszcze wówczas pozwolenia na pracę w USA, więc zajmowała się domem i dziećmi – tak ustaliliśmy i to było najlepsze rozwiązanie. Nie musiała pracować. Później odkryła w sobie talent artystyczny, gdzieś tam zagubiony, i zaczęła malować obrazy. I robi to świetnie.

JSz: Kiedy zaczęliście dojrzewać do tego, że jednak zostanieie na stałe w Stanach Zjednoczonych?

HI: Dojrzeliliśmy jesienią 1986 roku. I wtedy tak naprawdę zaczęła się nasza emigracja.

Byłem już znany, stąd też miałem różne propozycje – chcieli mnie

na przykład zatrudnić na Stanford University w Kalifornii. Ale przebił wszystkich wiceprezydent Rutgers University w New Brunswick, NJ, który zaprosił mnie na spotkanie. Od razu zaproponował mi stanowisko New Jersey State Professor. W całym stanie było tylko 8 takich stanowisk. Nie musiałem więc wspinać się po żadnych drabinach. Wiem, że Polaków w Stanach traktuje się gorzej niż Niemców, Francuzów, Anglików czy Rosjan, mimo że jesteśmy często lepsi, bardziej potrzebni. Według mnie jest to taki amerykański syndrom. Tymczasem ja, Polak, zostałem potraktowany tak, jak należy, czyli z szacunkiem i uznaniem. Nikt nie kwestionował moich dyplomów i kompetencji. To mi zaimponowało.

W styczniu 1987 roku podjąłem już stałą pracę jako profesor Rutgers University. Otrzymałem też znakomite warunki i wynagrodzenie. Myślę, że nikt by nie odrzucił takiej oferty.

Prof. Andrzej Schinzel, który musiał dla PAN napisać raport na temat mojej rezygnacji z pracy w Polsce, napisał dosłownie: „Henryk wyjechał w 1983 roku do Stanów Zjednoczonych i... już nie wrócił”. Ja mu odpowiedziałem wówczas: „Andrzej, godzina odlotu z lotniska Okęcie nie jest dla mnie datą wyemigrowania z Polski. Moja emigracja zaczęła się wówczas, kiedy zdecydowałem, że chcę być w Stanach”. Taka jest prawda. Bo ja nie chcę mieć zanotowane w papierach, że okłamywałem instytucję, w której zacząłem swoją naukową karierę – nigdy tak

nie było. Dbam bowiem o niuanse dotyczące mojego życia i pracy. Ja czuję się absolutnie Polakiem i to się nie zmieni. Dzisiaj fizyczna obecność w danym miejscu już nie jest tak istotna, liczy się to, co masz w sercu.



Henryk Iwaniec, fot. Janusz Szlechta.

JSz: W domu rozmawialiście z dziećmi po polsku?

HI: Oczywiście, bo nasz dom jest polskim domem.

JSz: A jak dzisiaj córki przyjadą – to już w końcu dojrzałe

kobiety, które mają amerykańskich mężów i dzieci – też rozmawiacie po polsku?

HI: Tak, bo tu nic się nie zmieniło. Irenka mówi bardzo dobrze po polsku, a Ania rozumie po polsku i w tym języku do niej mówię, chociaż woli odpowiadać po angielsku. Nie dziwię się, w końcu miała tylko 5 lat, gdy wyjechaliśmy z Polski, i cały czas ma do czynienia z Amerykanami. Kiedy zauważyliśmy w pewnym momencie, że traci kontakt z językiem polskim, wysłaliśmy ją na jeden semestr do szkoły w Polsce. Nie było to łatwe, długo przekonywaliśmy pryncypała High School w West Windsor, aby wyraził na to zgodę. Nie miał pojęcia o Polsce – czy to jest rzeka, czy kraj; twierdził, że Ania niczego tam się nie nauczy. Zapytałem go wówczas, czy wie, dlaczego ja dzisiaj jestem w USA. Zaniemówił i... wyraził zgodę. I dzięki temu, że Ania była kilka miesięcy w Warszawie, zachowała język polski i zdobyła dodatkową wiedzę na temat Polski i Europy. Była bardzo dobrą uczennicą. Potem skończyła studia inżynierskie w CALTECH w Pasadenie. Irenka skończyła studia artystyczne na Cooper Union w Nowym Jorku. Ania szybko zrobiła doktorat z inżynierii medycznej, teraz ma tytuł profesora i prowadzi wykłady w Kalifornii. Ma trójkę dzieci. Nie ukrywam, że jesteśmy z nich dumni.

JSz: Dla wszystkich emigrantów język jest sporym problemem. Mówił Pan wcześniej o swoich problemach, ale proszę

powiedzieć, jak szybko poradził Pan sobie z opanowaniem zawodowego języka angielskiego i czy Pana zdolności matematyczne były tu pomocne?

HI: Ubolewam nad tym, ale nie mam talentu do języków. Uparłem się jednak, dużo się uczyłem... Jak przyjechałem do USA, to już dobrze mówiłem po angielsku i nie miałem żadnych problemów z tym językiem. Oczywiście, mam wyraźny akcent, ale to mi nie przeszkadza w niczym.

JSz: Co było większym dla Pana problemem na początku pobytu w USA: kariera zawodowa czy proza życia, czyli to wszystko, co dotyczy spraw codziennych?

HI: Jak patrzę na kolegów czy ludzi z młodszej generacji i widzę, z jakimi problemami się borykają, jakie bariery muszą pokonywać, to z ulgą sobie myślę, że ja czegoś takiego nie przeżywałem. Stawiałem pierwsze kroki w Ameryce w Institute for Advanced Study w Princeton w stanie New Jersey, który ma ogromną renomę, jest świetnie zorganizowany. Nie musiałem budować swojej kariery w Stanach – dla mnie to była kontynuacja, a nie budowanie kariery. Nigdy też nie musiałem starać się o pracę – nie znam tego pojęcia. Pamiętam rozmowy z córkami, jak one musiały od początku uczyć się, a potem szukać tutaj miejsca dla siebie. Im o tyle było łatwiej, że wychowały się w Ameryce i naturalnie były przygotowane do takiego startu.

Oczywiście, nie byłem wolny od problemów dnia codziennego, martwiłem się, jak wszystko się ułoży. Z troską spoglądałem na dzieciaki i razem z żoną robiliśmy wszystko, aby im się powiodło w życiu.

JSz: Czy możliwe jest, aby w auli pełnej chińskich studentów, mając do dyspozycji tylko kredę i tablicę, poprowadzić interesujący wykład z matematyki tak, aby wszyscy go zrozumieli? Czy matematyka jest na tyle uniwersalnym językiem, że przełamuje bariery międzykulturowe?

HI: Odpowiedź jest bardzo prosta: tak! Matematyka jest językiem uniwersalnym. Chińczyk, Japończyk czy ktoś z Mozambiku bez problemu ją zrozumie. Oczywiście pod warunkiem, że zna matematykę. Jest to tylko kwestia poziomu słuchaczy. O tym, że Chińczycy znają matematykę i lubią ją, najlepiej świadczy fakt, że mamy na uniwersytetach amerykańskich wielu studentów z Chin. W Chinach byłem trzy razy, a czwarty raz pojechałem do Hongkongu odebrać nagrodę. Lubię tych studentów, bo traktują mnie jako ważnego nauczyciela, są wdzięczni za naukę – w odróżnieniu od niektórych studentów z innych krajów.

JSz: Czy współcześnie istnieją szkoły matematyczne, podobne do tych z początku XX wieku – chociażby słynnej szkoły lwowskiej? Jeśli tak, to czy podział wynika z geografii, granic

administracyjnych, czy może raczej ze sposobu myślenia, filozofii, uwarunkowań kulturowych?

HI: Moim zdaniem jest to raczej kwestia tradycji. Słynna polska szkoła matematyczna w okresie międzywojennym, a lwowska w szczególności, wyrosła na tym, że powstała nowa dziedzina matematyki – analiza funkcjonalna – i jako nowa dziedzina otworzyła się na wiele problemów, niedotkniętych jeszcze przez innych, co pozwoliło zabłysnąć polskim matematykom. To nie jest – moim zdaniem – możliwe, jeśli w danym ośrodku nie ma tradycji. Oczywiście, można coś nowego wymyślić i... niewiele z tego tak naprawdę wynika. Chodzi o to, aby to była trafna i potrzebna dziedzina, na przykład do rozwoju fizyki. Trzeba podkreślić, że tutaj ta polska szkoła popisała się i stworzyła coś nowego, co inni na świecie od Polaków potem przejęli. To nie byłoby jeszcze samo w sobie wystarczające gdyby nie fakt, że to się okazało fundamentalne dla rozwoju matematyki w tamtym okresie. Szkoła lwowska znakomicie prosperowała i to nie tylko w analizie funkcjonalnej, ale także w teorii zbiorów czy topologii. Wielką postacią był tu Stefan Banach, ale także Hugon Steinhaus czy Stanisław Mazur. Mógłbym o tym mówić długo, bo to jest bardzo ciekawa historia.

Jeszcze raz chciałbym podkreślić, że to jest kwestia tradycji w danym ośrodku, a nie jakiejś tam przewagi jednej nacji nad drugą. W Mozambiku nie ma żadnej szkoły matematycznej tylko

dlatego, że nie ma tam nikogo, kto by ją zaczął tworzyć. Nie ma wystarczających warunków, dobrze postawionego szkolnictwa i odpowiednich nakładów. Ja pewnie też nie zostałbym matematykiem, gdyby polskie Ministerstwo Oświaty nie stworzyło olimpiady matematycznej.

W Stanach Zjednoczonych sporo wydaje się na naukę i mówi się, że potrzeba jeszcze więcej – zazwyczaj podczas kampanii wyborczych. Kiedy Rosjanie wysłali swój sputnik na orbitę wokół naszej planety i łunochod na Księżyc, w USA wybuchła panika, że Amerykanie zostają w tyle. I to podziało – zaraz zaczęto zwiększać środki na rozwój tej dziedziny. Nikt nie ma wątpliwości, że amerykańska nauka jest w czołówce na świecie – to się bierze z nakładów i zrozumienia administracji rządowej. Rząd amerykański oczywiście inwestuje, ale też jest wielu filantropów, którzy tworzą prywatne instytuty, a także wspierają finansowo najlepsze uczelnie. Facet, który handluje elektroniką, zbudował w Palo Alto w Kalifornii wielki matematyczny instytut naukowy. Wynika to ze zrozumienia, że nakłady na naukę przynoszą różnego rodzaju korzyści dla kraju i pozwalają ściągać z zagranicy świetnych naukowców. Oczywiście nie wszystko w USA jest tak do końca fajne i pozytywne – ale to już temat na inną dyskusję. W Polsce nie ma jeszcze na tyle rozwiniętego kapitalizmu, aby taka filantropia była powszechna i miała istotne znaczenie dla nauki.

JSz: Czy dzisiaj możemy więc mówić o jakiejś konkretnej szkole matematycznej?

HI: Tak... i nie. Globalizacja, nie tylko ekonomiczna, ale także i naukowa, sprawia, że te ośrodki w dawnym stylu giną. Są oczywiście silne ośrodki badawcze w jakiejś konkretnej dziedzinie, ale przede wszystkim tam, gdzie znajdują się silne osobowości i środki finansowe. Na przykład Węgrzy są znani w świecie z tego, że mają mocne ośrodki w dziedzinach matematyki dyskretnej, takich jak kombinatoryka czy teoria grafów. Jest to kontynuacja ich tradycji.

W ostatnich latach w Polsce mamy raczej „suszę”. Są oczywiście całkiem dobre uniwersytety, instytuty, ale konkurencja jest coraz większa i trudno jest znaleźć swoje szczególne miejsce. Dwa lata temu został zorganizowany kolejny wielki międzynarodowy kongres matematyczny w Korei Południowej, na który nikt z Polski nie został zaproszony do wygłoszenia odczytu. To było smutne. W ostatnich latach na arenie międzynarodowej polska matematyka jest mało widoczna, niewiele ma do powiedzenia. Nie rozdzierałbym jednak szat z tego powodu, bo zawsze i wszędzie bywają słabsze lata, tak jak w sadach owocowych.

JSz: Czy istnieje żargon matematyczny? Jeśli tak, to czy polski różni się na przykład od amerykańskiego i czy w związku z tym miał Pan trudności z komunikacją i zrozumieniem z

matematykami amerykańskimi?

HI: Istnieje oczywiście żargon, i to bardzo silny. Trudności w komunikowaniu się nie wynikają wcale z przynależności narodowej. I to nie jest problem jednego pokolenia, lecz wynika on z całego rozwoju matematyki. Na przykład istnieją terminy, które zostały stworzone kilkaset lat temu i są używane do dziś. Abyśmy mogli się porozumiewać, potrzebne jest konkretne słownictwo. Zamiast wymyślać jakieś dziwne określenia, najlepiej jest je porównać do czegoś, co istnieje już w naszym świecie. Na przykład po polsku mówi się „ciało”, a po angielsku „field” – ale to nie ma nic wspólnego z naszym ciałem, lecz z algebraiczną strukturą. Tego trzeba się po prostu nauczyć, aby móc operować w teorii i być zrozumianym podczas jej prezentacji. To tak, jak niektórzy chcieliby, aby esperanto było językiem międzynarodowym... Rzecz w tym, że jest to martwy język, a żywym językiem, najlepszym dla komunikowania się między ludźmi jest angielski.

JSz: Amerykańskie uniwersytety to specyficzne miejsce na ziemi, a wydziały matematyczne na nich to wyjątkowe miejsce we wszechświecie, ale Pan unosi się tam z łatwością. Prawie nie odczuwając „grawitacji”, szybuje Pan między jedną gwiazdą a drugą, czyli... między jedną nagrodą a drugą. Czy nie odczuwa Pan z tego powodu zazdrości wśród kolegów po fachu?

HI: Raczej nie odczuwam, bo to do mnie nie dociera. Może dlatego, że matematycy zazwyczaj nie robią interesu ze swojej działalności twórczej. A może też dlatego, że osiągnięcia matematyczne są tak bezsprzeczne, precyzyjne, że nie sposób się do nich przyczepić. Jedyna rzecz, która może budzić kontrowersje, to czy uzyskany wynik jest głęboki, ciekawy i potrzebny dla innych badań.

Oczywiście jest konkurencja, bo tego się nie uniknie. Ponadto osiągnięcie konkretnego matematyka jest często rezultatem pracy wielu innych ludzi, i to na przestrzeni lat. Jeśli ja postawię kropkę nad „i”, to głupio jest się tego czepiać. Ktoś może czuć najwyżej niedosyt, że nie on to uczynił. Myślę, że podobnie jest i w innych dziedzinach nauki.

JSz: Czy na co dzień pracuje Pan tylko z Amerykanami, czy również z naukowcami innych narodowości?

HI: Prawdę powiedziawszy to nawet nie zastanawiałem się nad tym, bo nie ma to większego znaczenia. Komunikacja komputerowa tak wszystko pozmieniała, że dzisiaj praktycznie się nie odczuwa, czy ma się do czynienia z Włochem czy Japończykiem. Głównie pracuję z Amerykanami, ale to wynika z faktu, że pracuję na amerykańskim uniwersytecie, na którym dominują. Mam kontakt osobisty z naukowcami z różnych krajów, którzy pracują na Rutgers University.

JSz: Czy trudno było Panu zaadaptować się w amerykańskim środowisku matematycznym?

HI: Nie miałem żadnych problemów. Chyba nie pomyłę się, jeśli powiem, że 60 procent wielkich naukowców pracujących na amerykańskich uniwersytetach czy w instytutach to są ludzie z zagranicy. Gdyby ci ludzie mieli problemy adaptacyjne, na pewno nie byłiby tacy dobrzy w swoich dziedzinach. Potem się słyszy, że kolejną prestiżową nagrodę otrzymał wybitny amerykański naukowiec... Przecież ja też jestem klasyfikowany jako naukowiec amerykański.

JSz: Nie pytam o szczegóły, ale czym zajmuje się Pan, jako matematyk? Czy może to zrozumieć zwykły człowiek, taki jak ja?

HI: Oczywiście. Ja zajmuję się teorią liczb. Szczególnie pasjonuje mnie teoria liczb pierwszych, czyli nierozkładalnych. Liczby pierwsze są niczym cząstki elementarne w budowie materii: 2, 3, 5, 7, 11, 13, 15, 17, 19... Jedyńka nie jest liczbą pierwszą – są oczywiście tego powody. Związane są z nimi pasjonujące problemy i są to jedne z najistotniejszych problemów do dziś nierozwiązanych we współczesnej matematyce. Jeden z nich przedstawia hipoteza Riemanna. Hipoteza ta, sformułowana w 1859 roku, dotyczy badanej przez niemieckiego matematyka Bernharda Riemanna funkcji dzeta. Jest to funkcja analityczna zmiennej zespolonej. Mówi ona, że zera tej dzeta funkcji, tzw.

nietrywialne zera (nierzeczywiste), mają część rzeczywistą równą $1/2$. Ma to duży związek z rozmieszczeniem liczb pierwszych. Mamy nieskończoną ilość liczb pierwszych i jeśli chcemy zbadać ich mnogość to liczymy je do dowolnie wybranej wielkości x – i pytamy wówczas, ile ich jest. Okazuje się, że w dobrym przybliżeniu jest to x podzielone przez logarytm z x . Pytanie jest, ile ich jest naprawdę, czy otrzymamy precyzyjny wynik. Hipoteza Riemanna mówi, że błąd w asymptotycznym przybliżeniu wynosi około pierwiastek z wielkości x .

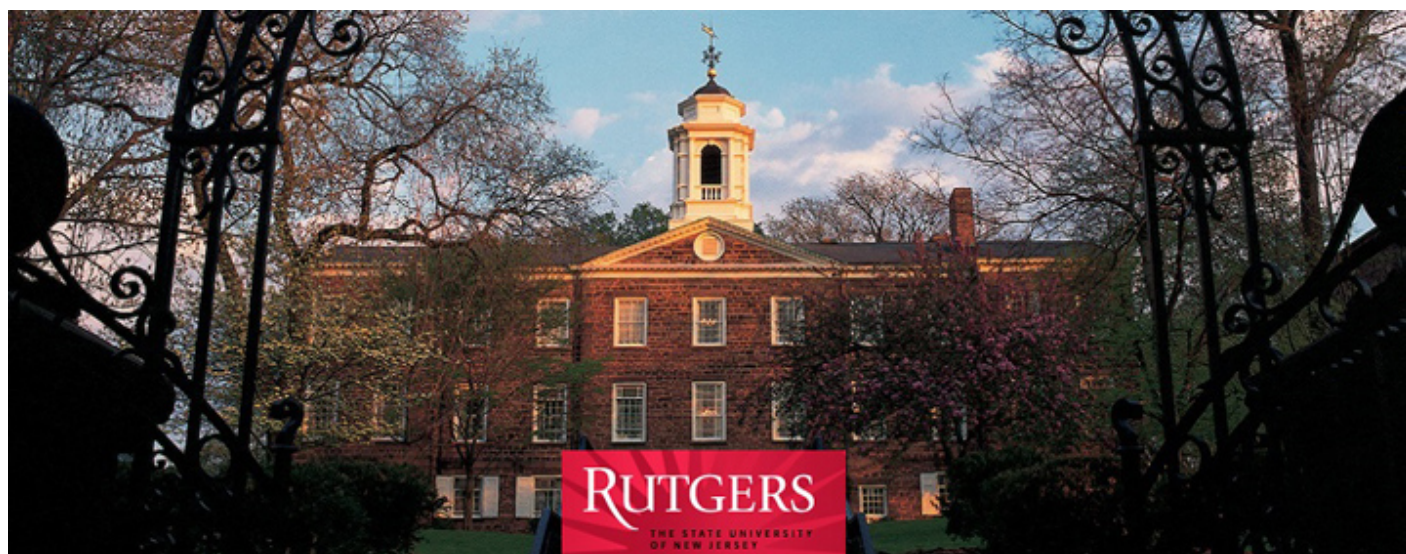
Jest to bardzo głęboka hipoteza. Każdy byłby dumny z jej udowodnienia. Problem ten ma duże znaczenie dla całej matematyki – w szczególności dla teorii liczb. Cieszę się, kiedy podczas wręczania jakiejś nagrody, podkreślane jest moje zainteresowanie teorią liczb pierwszych. Zajmuję się też teorią funkcji automorficznych, a jeszcze idąc dalej – spektralną teorią funkcji automorficznych. O tym mogę mówić raczej ze specjalistami. Mam tu różne osiągnięcia, które są już mniej uchwytnie.

JSz: Czy może Pan zatem wyjaśnić – o czym zresztą mówił pan podczas spotkania w Druch Studio Gallery w Trenton w stanie New Jersey – która liczba jest większa: $2/3$ czy $3/5$?

HI: To był żart. Wielu młodych ludzi ma problem ze zrozumieniem podstaw matematyki, mają bowiem uprzedzenia.

Słynny rosyjski matematyk Gelfand Izrail Moisiejewicz uczył studentów, jak należy podchodzić do matematyki, gdyż – oprócz badań naukowych – zajmował się również pedagogiką. Kiedyś dziennikarz zapytał go, jak on to robi, że tak skutecznie uczy. Prof. Gelfand stwierdził, że każdego można nauczyć matematyki i każdy jest w stanie ją zrozumieć, ale trzeba mieć odpowiednie podejście. I stwierdził: jak na ulicy w Moskwie zapytasz przechodnia, która liczba jest większa: $\frac{2}{3}$ czy $\frac{3}{5}$ – to wzruszy ramionami i bezradnie rozłoży ręce. Ale sprawa staje się jasna, kiedy zapytasz: czy lepiej mieć trzy butelki wódki na dwie osoby, czy pięć butelek na trzy osoby? Wówczas każdy szybko odpowie, co jest lepsze.

Matematyka jest piękna, dlatego nie bardzo rozumiem, dlaczego nie może się przebić przez wszelkie uprzedzenia w szkołach i dlaczego tak dużo młodych ludzi jej się boi. Ale tak naprawdę każdy, kto lubi myśleć – polubi matematykę.



JSz: Otrzymał Pan bardzo prestiżową w świecie naukowym nagrodę Shaw Prize 2015 za stworzenie i rozbudowanie podstawowych narzędzi w teorii liczb, które pozwoliły Panu i innym rozwiązać wiele otwartych problemów matematycznych. Niedawno stwierdził Pan: „Bawię się matematyką”. Potem Pan dodał, że to co Pan robi, tak naprawdę trudne jest do przełożenia na praktykę. Ale przecież wiemy ze źródeł naukowych, że Pańskie dokonania przekładają się jednak na konkretne zastosowania, m.in. w szeroko pojętych dziedzinach informatycznych i kryptografii. No to jak to jest naprawdę?

HI: Muszę dodać, że tak naprawdę Shaw Prize 2015 otrzymałem nie tylko za osiągnięcia w teorii liczb. W prasie wyszczególnia się jeden konkretny wynik o liczbach pierwszych, za który przyznano mi tę nagrodę, lecz tak naprawdę jest to nagroda za szersze osiągnięcia w matematyce, bo przecież nie jestem już taki młody. Bardzo sprytnie to sformułowano. Ja uważam jednak, że to jest mój „lifetime achievement”, czyli nagroda „za całokształt”.

Moje wyniki nie przekładają się w istocie bezpośrednio na przykład na kryptografię, natomiast prace w dziedzinie liczb pierwszych rzeczywiście się przekładają i to w znacznym stopniu. Najbardziej skuteczne algorytmy do kryptografii są oparte na pewnych twierdzeniach dotyczących liczb pierwszych, tylko że ja osobiście nie mam na to wpływu. Bo ja nie mam wpływu na to, jakich matematyków zatrudnia na przykład AT&T czy nowojorska

giełda i co oni robią – nie ulega jednak wątpliwości, że oni wykorzystują to, co ja osiągnąłem i udowodniłem. Ale to jest ich praca, to są ich osiągnięcia.

JSz: Kiedy Pan się dowiedział, że przyznana Panu została ta nagroda?

HI: 1 czerwca 2015 roku. Otrzymałem e-maila z Hongkongu. Często pracuję w nocy, nawet do rana. I tak samo było wówczas. W pewnym momencie kliknąłem i widzę, że jest e-mail. Przez kilka sekund zastanawiałem się, co to jest. Otworzyłem go i przeczytałem... Poczułem się radośnie zaskoczony. Całą noc już nie mogłem zmrużyć oka. Zrobiłem sobie jeszcze jedną kawę. Doczekałem do oficjalnej ceremonii, która była na żywo transmitowana. Kilka godzin później, na konferencji prasowej w Hongkongu, oficjalnie oznajmiono o przyznaniu tych nagród. Nagroda wynosi milion dolarów w każdej dziedzinie. W 2016 roku wynosiła już 1,2 miliona. W dziedzinie matematyki tym razem przyznano nagrodę dwóm osobom, tak że faktycznie dostałem pół miliona.

Kasia była wtedy w szpitalu, po tragicznym wypadku samochodowym. Zaraz do niej pojechałem – jeździłem zresztą codziennie do szpitala. Była w bardzo ciężkim stanie, stąd też miałem mieszane uczucia, czy powinienem jej mówić o nagrodzie. Z powodu jej wypadku przerwałem zresztą kontrakt w

Zurychu w Szwajcarii i przyjechałem do Princeton, aby być przy żonie.

JSz: Nagrodę otrzymał Pan w doborowym towarzystwie pięciorga znakomitych naukowców z kilku krajów. Proszę opowiedzieć, jak wyglądała cała ceremonia: gdzie się odbywała, ilu było tych, którzy was podziwiali?

HI: To jest nagroda przyznawana co roku przez The Show Price Foundation in Hong Kong. Fundację tę założył w roku 2002 Run Run Shaw – magnat filmowy i telewizyjny w Hongkongu. Zmarł dwa lata temu w wieku 107 lat. Nagroda ta określana jest często jako „Nobel Wschodu”. Przyznawana jest w trzech dziedzinach: w astronomii, nauce o życiu i medycynie (Life Science and Medicine) oraz w matematyce (Mathematical Sciences). Po raz pierwszy nagrody te zostały wręczone w roku 2004. W roku 2015 nagrodę w dziedzinie astronomii otrzymał amerykański naukowiec, mający polskie korzenie, William J. Borucki – jest on odpowiedzialny w Ames Research Center w NASA za Kepler Mission, czyli za badanie planet. W medycynie nagrodę otrzymały dwie osoby – za bakterie, które się komunikują: Bonnie L. Bassler – profesor w Department of Molecular Biology Princeton University i E. Peter Greenberg – profesor mikrobiologii The University of Washington w Seattle. W matematyce też było dwóch nagrodzonych: Gerd Faltings z Max Planck Institute for Mathematics w Bonn w Niemczech i ja.

Nasz pobyt w Hongkongu trwał cztery dni. Wręczenie nagród, czyli The Shaw Prize Award Presentation Ceremony 2015 (www.shawprize.org), odbyło się wieczorem, 24 września w Hong Kong Convention and Exhibition Centre. Dyplomy i medale wręczał mistrz ceremonii CY Leung – przewodniczący Chief Executive of the Hong Kong Special Administrative Region, czyli gubernator Hongkongu.

Po ceremonii wręczenia nagród, przy pięknych, fantastycznie udekorowanych okrągłych stołach, zasiedliśmy do kolacji. Wszyscy laureaci siedzieli przy jednym stole. Obok nas zasiadł gubernator Hongkongu. Miałem okazję kilka minut z nim porozmawiać. Opowiedział mi co nieco o historii tego fantastycznego miasta.

Na życzenie organizatorów musieliśmy przygotować dla nich wiele informacji. Jako laureat musiałem napisać autobiografię, potem drugą, pełniejszą, ze szczegółami; musiałem także przygotować „acceptance speech”. Taką mowę dziękczynną za nagrodę wygłaszał każdy nagrodzony, zaraz po otrzymaniu medalu i dyplomu, i nie mogła ona trwać dłużej niż 3 minuty. Wszystkie te informacje trzeba było posłać organizatorom dużo wcześniej.

Dzień przed ceremonią odbyła się konferencja prasowa z udziałem wszystkich laureatów. Następnego dnia, po ceremonii

wręczenia nagród, wygłosiłem wykład na Uniwersytecie w Hongkongu – każdy z laureatów miał taki obowiązek. Dzień później wygłosiłem wykład w Museum of Art and Sciences w Hongkongu, połączony z dyskusją. Było to tak zwane public forum. Musiałem opowiedzieć o sobie, a potem odpowiadałem na pytania z sali. To też należało do obowiązków laureata.

To wszystko było fantastycznie przygotowane. Byliśmy traktowani jak... prawdziwi laureaci! Podczas samej ceremonii wiedzieliśmy dokładnie, kto i kiedy ma wyjść, jak przejść po czerwonym dywanie, w którym miejscu stanąć, bo wcześniej mieliśmy próbę... Towarzyszyła nam piękna muzyka, a sala była pięknie udekorowana. Podczas oficjalnej ceremonii członkowie komisji przyznającej nagrody przedstawili laureatów. Wszystko odbywało się w świetle lamp, przed zaproszonymi gośćmi. Trudno było się nie wzruszyć.

JSz: Czy towarzyszył Panu ktoś z rodziny? Czy mieliście czas na to, aby obejrzeć Hongkong i zobaczyć coś więcej, przynajmniej kawałeczek Chin?

HI: Żona Kasia nie mogła ze mną pojechać ze względu na jej stan zdrowia, więc towarzyszyła mi młodsza córka Ania. Trochę mało czasu było na zwiedzanie samego Hongkongu, ale co nieco zobaczyliśmy. Mieszkaliśmy w luksusowym hotelu. Każdy z laureatów miał do dyspozycji samochód z kierowcą, tak że nie

martwiliśmy się o to, jak i kiedy dojechać na miejsce spotkania. Było to niesamowite przeżycie, coś takiego zdarza się raz w życiu...

JSz: Czy były reakcje polskich placówek naukowych i polskich naukowców na Pańską nagrodę?

HI: Nieliczne na początku. Muszę powiedzieć nieskromnie, że trochę mnie to zdziwiło. Otrzymałem życzenia z Instytutu Matematycznego w Warszawie. Złożył mi też życzenia mój promotor pracy doktorskiej, profesor Andrzej Schinzel. To wszystko.

Natomiast bardzo przeżywał to całe wydarzenie mój brat Tadeusz i oczywiście serdecznie mi gratulował. Jest bardzo dumny ze mnie. Tadeusz jest obecnie profesorem matematyki na Syracuse University w stanie Nowy Jork. Otrzymał wiele nagród i ma wysokie notowania. Zajmuje się zupełnie czymś innym niż ja, między innymi równaniami różniczkowymi cząstkowymi, a także geometryczną teorią funkcji. Kiedyś spotykaliśmy się bardzo często, teraz, niestety, bardzo rzadko, bo daleko od siebie mieszkamy. Ode mnie trzeba jechać samochodem do Syracuse około 6 godzin. Za to czasami do siebie dzwonimy.

JSz: Co ciekawe, pierwszy z gratulacjami dla Pana pospieszył prezydent Elbląga, wyprzedził wszystkich innych. Dlaczego

akurat on, czyżby miał w tym jakiś interes i jakieś służby, które informują go o Pana poczynaniach?

HI: To na pewno wyszło z jego serca. Kiedy opuściłem Elbląg, bo podjąłem studia w Warszawie, a potem wyjechałem do USA, rzadko bywałem w tym mieście. Dopiero od mniej więcej 10 lat te kontakty znowu się ożywiły. W roku 2006 Rada Miasta przyznała mi honorowe obywatelstwo miasta Elbląga. Nie dziwię się więc, że prezydent miasta zachwycił się tą nagrodą dla mnie. Pierwsze artykuły o mojej nagrodzie ukazały się w prasie elbląskiej. Mogę więc powiedzieć, że Elbląg się wykazał. Warszawa później.

JSz: Problemów matematycznych rozwiązał Pan – i wciąż Pan rozwiązuje – co niemiara. I co chwila dostaje Pan jakąś nagrodę. Proszę wymienić przynajmniej kilka tych, które są dla Pana najważniejsze i najcenniejsze?

HI: The Shaw Prize Award jest dla mnie niewątpliwie nagrodą najważniejszą, bo jest bardzo prestiżowa i niewiele osób ją otrzymuje. Mamy tysiące bardzo dobrych matematyków na świecie, a tylko dwóch otrzymało tę nagrodę w 2015 roku, więc mam się z czego cieszyć.

Wśród cennych nagród, jakie otrzymałem, niewątpliwie są: Medal Sierpińskiego przyznany mi w 1996 roku przez Polskie

Towarzystwo Matematyczne, The Jurzykowski Prize – nagroda przyznana mi w 1991 roku przez Alfred Jurzykowski Foundation w Nowym Jorku oraz Medal Stefana Banacha, który otrzymałem w maju 2015 roku od Polskiej Akademii Nauk, a więc przed nagrodą Shawa.

Bardzo sobie cenię nagrodę „Leroy P. Steele Prize”, którą otrzymałem w 2011 roku od American Mathematical Society za książki – monografie dla studiujących na poziomie badań naukowych, co jest wyrazem uznania nie tylko za moją pracę naukową, ale również za pracę edukacyjną. A pedagogów, którzy są bardzo dobrzy i zasługują na wyróżnienia, jest bardzo dużo. Jestem dumny z tej nagrody, bo mogę się nią pochwalić wśród studentów, że potrafię też zrozumiale redagować materiał naukowy.

W USA jestem członkiem American Academy of Arts and Sciences. A kiedy zostałem członkiem National Academy of Sciences władze Rutgers University tak były z tego faktu dumne – bo to jest prestiż i ogromne wyróżnienie – że billboard z moim nazwiskiem i zdjęciem pojawił się na stacji kolejowej w New Brunswick. Pojawiły się też artykuły o mnie w gazetach amerykańskich. No i jestem członkiem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie. Wielkim wyróżnieniem jest dla mnie zawsze zaproszenie na Międzynarodowy Kongres Matematyków, który odbywa się co cztery lata. Byłem zaproszony trzy razy: do

Helsinek, Madrytu i Berkeley w Kalifornii w USA.

JSz: Rozwiązanie jednego problemu matematycznego powoduje... powstanie następnego. Oznacza to, że nigdy nie osiągniemy końca, nie znajdziemy ostatecznej odpowiedzi, czyli jest Pan skazany na pracę, matematyczne myślenie, do końca życia. Taka perspektywa jest dla Pana przyjemna, pobudzająca, czy wręcz przeciwnie – przerażająca?

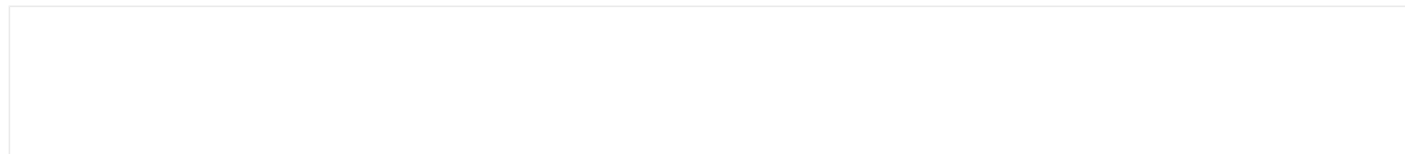
HI: To prawda. Ale ja się tym nie przejmuję, że jest tyle pracy, bo nawet gdy przejdę na emeryturę, to nie rozstanę się z matematyką.

JSz: Kiedy wybiera się Pan na emeryturę? Czy w ogóle jest możliwe dla matematyka słodkie lenistwo i w konsekwencji skończenie z myśleniem?

HI: Przejście na emeryturę jest sprawą techniczną, a przywiązanie do matematyki zostaje, trudno się z nią rozstać. Czasami jedynie marzy mi się przejście na emeryturę z powodu wygody. Odpadają bowiem liczne obowiązki na uniwersytecie, między innymi opieka i troska o warunki pracy dla studentów i prace w komisjach, a wówczas więcej czasu można poświęcić na poszukiwania i badania. Na szczęście na moim uniwersytecie nie ma obowiązku przechodzenia na emeryturę, co mnie bardzo cieszy. Jeśli nie byłbym zdolny fizycznie czy nawet umysłowo do

dalszej pracy, to wówczas nie miałbym wyboru – musiałbym zostać emerytem. Mam nadzieję, że do takiej sytuacji jednak nie dojdzie.

Princeton Junction, NJ, 31 października 2015 – 9 stycznia 2016 r.



Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie”, wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.



Zdażyłam na swój

pociąg

Rozmowa z Anną Gordijewską - dziennikarką „Kuriera Galicyjskiego” we Lwowie, aktorką i przewodnikiem po mieście.



Anna Gordijewska, fot. Janusz Szlechta

Janusz M. Szlechta: Cały świat śledzi z niepokojem to, co dzieje się na wschodzie Ukrainy. Rosja zabrała Ukrainie Krym, trwają

walki w Donbasie. Czy czujecie tę wojnę we Lwowie? Czy nie boicie się, co dalej będzie, jak to się zakończy?

Anna Gordijewska: Kiedy „wybuchnął” Majdan – była euforia. Wyszli tam protestować głównie młodzi ludzie, była nadzieja, że coś się zmieni, że w kraju będzie lepiej. Ale kiedy przerodziło się to w walki, kiedy rozpoczął się konflikt zbrojny z Rosją i w grę weszły duże pieniądze – bo rozpoczęła się również wojna oligarchów – ludzie zaczęli się bać.

W Donbasie codziennie giną ludzie, więc codziennie towarzyszy nam lęk o to, jak się ta wojna skończy... Tego nikt nie wie. My w telewizji widzimy to samo, co oglądają ludzie w Polsce i w Stanach Zjednoczonych. Jeśli nie ma potrzeby, nikt nie jedzie tam, gdzie trwają walki. Ja tam nie byłam...

We Lwowie bezpośrednio wojny nie widać. Ale to jest przecież jeden kraj, więc odczuwamy wojnę przede wszystkim emocjonalnie i ekonomicznie. Zarabiamy mniej, wzrosło bezrobocie. W rodzinach, w których są synowie, panuje strach przed tym, co będzie, bo jest ogłoszona mobilizacja. Chłopcy są brani do armii. Część młodych mężczyzn wyjechała za granicę, także do Polski; niektórzy nie odbierają „powistek”, czyli powołań do wojska. Wielu młodych chłopaków mówi: *My jesteśmy patriotami, gotowi jesteśmy pójść walczyć, ale chcemy wiedzieć, dla kogo mamy walczyć!* Panuje bowiem wielki chaos w

ludzkich głowach i sercach. Wojna ta często odbierana jest jako wojna oligarchów. Rosja nie przyznawała się, że wysłała na Krym wojska specjalne, aby go zdobyć. My wiemy tylko tyle, że pojawiają się nagle „zielone ludziki”, a w sklepach można kupić wojskowe mundury.

Dla nas jest jasne jedno: Krym został zabrany Ukrainie! Nie ma bezpośredniego połączenia z Rosją, więc Rosja będzie walczyć, dopóki nie zdobędzie korytarza we wschodniej Ukrainie. We Lwowie obserwujemy natomiast, że jest coraz więcej osób rosyjskojęzycznych. Są to na ogół uciekinierzy ze wschodniej Ukrainy. Do czasów wojny we Lwowie dominował język ukraiński. Oczywiście było sporo turystów, w tym Polaków, więc nasz język też był często słyszany. Kiedy prezydentem był Wiktor Juszczenko, zaczęła się walka z językiem rosyjskim i w pewnym momencie jakby zniknął z oficjalnego obiegu.

JSz: A czy ludzie ze Lwowa uciekają, próbują znaleźć sobie bezpieczniejsze miejsce do życia – myślę tu głównie o naszych rodakach?

AG: Oczywiście, że uciekają, zresztą nie tylko nasi. Polacy z Polski zawsze mieli większe możliwości wyjazdu za chlebem, czy z innych powodów, aniżeli Polacy ze Lwowa. Po II wojnie światowej wielu Polaków zostało zmuszonych do opuszczenia Lwowa, nie mieli wyboru. W późniejszych latach ci, którzy tutaj

zostali, uświadamiali sobie, że jednak żyją w obcym kraju. Stąd też pojedynczo, lub całymi rodzinami – jeśli tylko było to możliwe – wyjeżdżali do Polski i próbowali ułożyć sobie tam życie. Dużo osób opuściło Lwów po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce. Podobnie jest dzisiaj.

Aby zostać we Lwowie, trzeba być człowiekiem z charyzmą. Jeżeli ktoś żyje nie tylko dla siebie, widzi potrzebę udzielania się i pracy dla innych, zawsze znajdzie swoje miejsce. Ale też sporo jest takich rodaków, którzy nigdzie nie wyjechali, bo nie mieli dokąd, do kogo, nie mieli pomysłu na wyjazd albo odwagi.

JSz: A Ty... nie próbowałaś wyjechać do Polski? Na pewno znalazłabyś tam swoje miejsce, masz przecież wielu przyjaciół, jesteś osobą znaną w kręgach dziennikarskich...

AG: Nie ukrywam, że miałam dylemat, co robić? Szybko jednak uświadomiłam sobie, że jednak nie, nigdzie nie jadę... Urodziłam się przecież we Lwowie – to jest moja mała ojczyzna. Uczyłam się w polskiej szkole imienia św. Marii Magdaleny, która w 2016 roku będzie obchodzić piękny jubileusz 200-lecia działalności. Niewielu Polaków na świecie może się dzisiaj pochwalić, że uczyli się w szkole z tak bogatymi tradycjami. W tej szkole uczyło się wielu znakomitych Polaków.

W czasach Związku Radzieckiego we Lwowie były dwie polskie

szkoły: szkoła imienia Marii Magdaleny i imienia Marii Konopnickiej – założona już po II wojnie. Sowieci uznali, że Polakom wystarczy jedna szkoła i chcieli jedną z nich zamknąć – wybór padł na tę, w której ja się uczyłam. Dzisiaj gorąco dziękujemy naszym rodzicom za to, że mieli odwagę jej bronić. Specjalna delegacja, złożona z matek, pojechała do Moskwy prosić, aby nie zamykano szkoły, bo jest bardzo potrzebna. W tej delegacji była również moja mama Maria (z domu Wołoszyńska). Mama była zawsze kobietą zdecydowaną i śmiałą w swoich wypowiedziach, decyzjach i poczynaniach. Władze sowieckie powiedziały wtedy tak: my wam zostawimy tę szkołę, ale pod warunkiem, że stworzycie w niej muzeum jakiegoś polskiego bohatera. Wówczas rodzice zaproponowali, aby utworzyć muzeum Feliksa Dzierżyńskiego.

Teraz może się to wydawać śmieszne, a nawet niesamowite, ale należy pamiętać, jakie to były czasy. Brzmi to jak paradoks, ale właśnie Feliks Dzierżyński uratował szkołę przed zamknięciem. Co jakiś czas przychodziła komisja i pytała kierownictwo szkoły: jest muzeum? No jest – mówiła dyrektorka. A kto jest bohaterem tego muzeum? – pytała dalej komisja. No, Feliks Dzierżyński – padała odpowiedź. Członkowie komisji z uznaniem kiwali głowami i odchodzili. Ja, jako uczennica, nigdy w tym muzeum nie byłam. Zresztą moi koledzy i koleżanki również. Ale dzięki temu muzeum szkoła przetrwała...

JSz: No, a wcześniej nie próbowałaś wyrwać się ze Lwowa w świat, zmienić coś w swoim życiu?

AG: Moja młodość, ta piękna i szalona nieco, przypadała na lata, kiedy w Polsce był okres strajków, potem stan wojenny, potem czas lizania ran po stanie wojennym... Uczyłam się we Lwowie, bo nie miałam żadnego wyboru, żadnej możliwości wyjazdu dokądkolwiek. My, Polacy, mieliśmy określony status. Nie odczuwałam, aby mnie ktoś śledził czy prześladował, ale niemal na każdym kroku odczuwaliśmy to, że jesteśmy inni. Na studia dostawali się najzdolniejsi oraz dzieci kołchoźników, wojskowych, członków komunistycznej partii... Polacy byli gdzieś tam daleko w kolejce, a więc szanse na podjęcie studiów były niewielkie.

JSz: A czy mogliście normalnie, na co dzień mówić po polsku? Nie ponosiliście konsekwencji z tego powodu, że mówiliście w tym języku?

AG: Język polski w tym mieście był popularny i potrzebny, bo było to miasto na pograniczu. Używali go nawet Ukraińcy na różnych szczeblach, którzy uczyli się go w przedwojennych gimnazjach. Nie było wówczas filologii polskiej na Uniwersytecie Lwowskim, tylko katedra filologii słowiańskiej. Nasza młodzież miała wówczas szanse wyjazdu na studia polonistyczne jedynie do Wilna. Gdybym wtedy wyjechała do Polski, na pewno moje

życie ułożyłoby się inaczej. Tuż przed stanem wojennym wyjechała do Polski moja mama, nieco później moja starsza siostra Jolanta.

JSz: Czy dziennikarstwo to był Twój świadomy wybór i chciałaś się poświęcić tej profesji? Myślałaś już wówczas o pracy w mediach polskich czy rosyjskojęzycznych?

AG: Tak, to była moja przemyślana decyzja. Nie mam problemu z pisanem w języku ukraińskim czy rosyjskim, ale myślałam o pracy przede wszystkim w mediach polskich. Skończyłam studia dziennikarskie w Akademii Poligraficznej we Lwowie, ze specjalizacją „redaktor naukowo-technicznej literatury i informacji”. Kiedy zdobyłam dyplom, dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Mogłam pisać pracę doktorską, bo zostałam wytypowana przez mojego promotora, ale wybrałam doktorat z... macierzyństwa. Urodziłam córeczkę Kasię, a trzy lata później Elizę.

W tym czasie mój mąż, który był wykładowcą w Akademii Poligraficznej, bardzo intensywnie pracował, gdyż chciał obronić doktorat. Ja poświęciłam się więc wychowywaniu dzieci i domowi. I byłam bardzo szczęśliwa.

Kiedy dziewczynki już troszkę podrosły, zaczęłam szukać pracy, ale chciałam, aby była to praca związana ze środowiskiem

polskim. Byłam przez wiele lat odseparowana od tego środowiska, obracałam się wśród lwowiaków różnych narodowości, czułam więc potrzebę powrotu do środowiska polskiego. Moje córki poszły oczywiście do polskiej szkoły im. Marii Magdaleny. Szybko zostały harcerkami, więc wówczas zaczęłam udzielać się w harcerstwie.

Pewnego razu dyrektorka szkoły Marta Markunina zapytała mnie, czy nie chciałabym studiować w Polsce. Warunek był taki, że jak skończę studia i wrócę do Lwowa, to będę pracować w Polskim Radiu Lwów.

Ojciec powiedział wówczas: *Twój pociąg odjeżdża i jeśli chcesz coś w życiu osiągnąć, to musisz do niego wsiąść, nawet do ostatniego wagonu.* Natomiast mój mąż powiedział: *Kiedy urodziłaś drugą córkę – ja broniłem doktorat; ty zrezygnowałaś wówczas ze swojego doktoratu. Teraz, kiedy jest taka możliwość, skorzystaj z niej i jedź na studia do Polski. My sobie tutaj damy radę.*

JSz: No i co, wsiadłaś do tego pociągu, który powiózł Cię do Polski i otworzył przed tobą inny świat?

AG: Bardzo dziękuję za to moim ukochanym mężczyznom, którzy byli i są dla mnie prawdziwą opoką. Teraz wiem, że aby coś w życiu osiągnąć, trzeba mieć wsparcie bliskich ludzi. Nie była to

łatwa decyzja, nie było mi też łatwo studiować, ale dzięki tej decyzji moje życie bardzo się zmieniło – oczywiście na lepsze.

Skończyłam Studium Komunikowania Społecznego i Dziennikarstwa na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w Lublinie. Studia trwały dwa lata, w trybie stacjonarnym. Zazwyczaj cztery dni byłam w Lublinie, a na koniec tygodnia jechałam do Lwowa, do rodziny. Pamiętam, jak dojeżdżałam do Lwowa autobusem, często pełnym handlarzy z worami załadowanymi towarem.

JSz: Co Ci te studia dały, czego się tam nauczyłaś? Czy było to przydatne później w twojej codziennej pracy?

AG: Była to naprawdę dobra szkoła życia i dziennikarstwa. Mieliśmy wspaniałych wykładowców – byli to znani dziennikarze prasowi, radiowi i telewizyjni. To był czas, kiedy do telewizji i do mediów zaczęły wkraczać komputery.

Dyrektor Studium Komunikowania, ks. prof. Leon Dyczewski, kiedy nas żegnał i wręczał nam dyplomy po jego ukończeniu w roku 1997, powiedział o mnie: *Ta pani wraca do Lwowa i będzie nowoczesną dziennikarką, będzie mogła korzystać z komputerów i na pewno będzie ważnym łącznikiem Lwowa z Polską.*

Miałam dodatkowy powód do dumy, bo dyplom ukończenia

studium wręczył mi sam Krzysztof Zanussi, znakomity reżyser filmowy, który również prowadził z nami zajęcia. Świadcami tego wydarzenia były moja mama i siostra.



Lwów

JSz: Pracę dyplomową zapewne pisałaś o Lwowie, bo... nie widzę innej możliwości.

AG: Oczywiście. W pierwszej chwili stwierdziłam, że będę pisać o Lwowie, tak od serca. Po rozmowie z moją promotorką Anną Kaczkowską – jedną z najlepszych wówczas dziennikarek Radia Lublin – doszłam do wniosku, że temat zawężę i opiszę Cmentarz

Łyczakowski.

W latach 90. polskie władze rozpoczęły trudne rozmowy ze stroną ukraińską na temat renowacji tego cmentarza. Planowano ukończenie prac w roku 1998. Kiedy pisałam tę swoją pracę, któregoś dnia przyszedłam na cmentarz. Prowadzono właśnie prace ekshumacyjne. Zobaczyłam ciała obrońców Lwowa, tak zwanych Orląt, którzy zmarli śmiercią naturalną wiele lat później i byli pochowani nieco dalej od tych, którzy zginęli w walce. W latach 70. przez te nagrobki została poprowadzona asfaltowa droga.

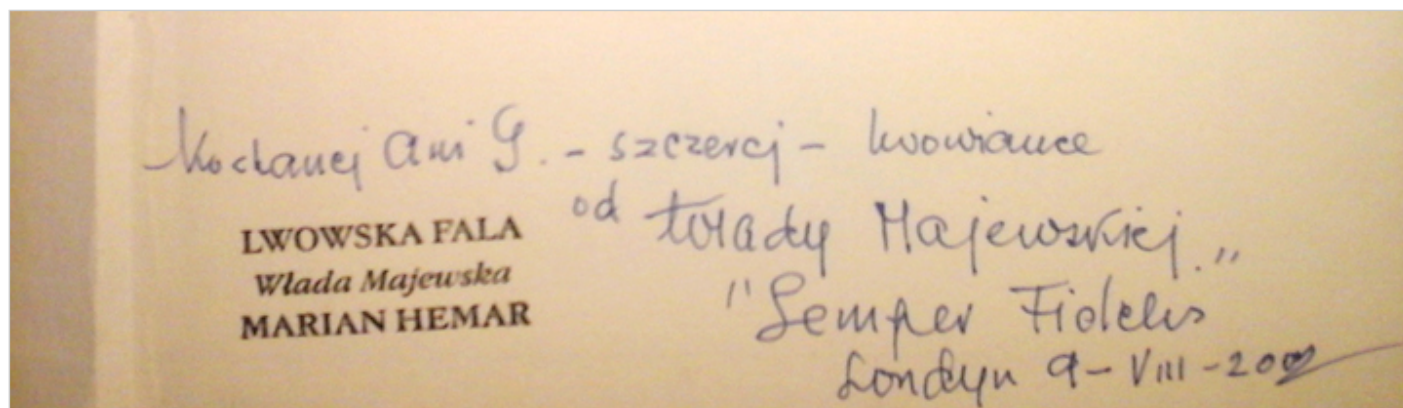
Przyszedłam z mikrofonem, aby nagrywać rozmowy. Przy ekshumacji pracowała wówczas ekipa katyńska pod kierownictwem prof. Andrzeja Koli z Torunia. Nigdy nie zapomnę tego momentu: zobaczyłam rozkopane groby, ludzkie czaszki na wierzchu, kości rąk i... po prostu przestraszyłam się. Prof. Kola powiedział wtedy do mnie: *Niech się pani nie boi tych ludzi w grobach. Trzeba się bać żywych, którzy nie zawahali się zbudować drogi na grobach ludzi.*

Wiele razy przychodziłam potem na cmentarz i zaprzyjaźniłam się z tą ekipą. Kiedy wreszcie w 2005 roku nastąpiło otwarcie odrestaurowanego Cmentarza Łyczakowskiego i dla mnie zabrakło miejsca w pierwszych rzędach podczas tej uroczystości, cała ekipa z prof. Kolą wstała i zaprosili mnie do siebie. To są momenty, których nie sposób zapomnieć. Tytuł mojej pracy

brzmiał: *Wspólnota żywych i umarłych*. Opisałam historię Cmentarza Łyczakowskiego wraz z Cmentarzem Orląt i wiele miejsca poświęciłam właśnie ekshumacji.

JSz: Skończyłaś studia w Lublinie i wróciłaś do Lwowa. Czy właśnie wtedy trafiłaś do Polskiego Radia Lwów?

AG: Tak, podjęłam pracę w radiu. Była to praca w pełni społeczna, nikt tam nie miał etatu. Radio powstało w 1992 roku, więc już w trakcie studiów współpracowałam z tą rozgłośnią – przede wszystkim przekazywałam korespondencje z Lublina. Kiedy ruszałam na miasto z mikrofonem w rękę i słuchałam znakomitych ludzi, uświadomiłam sobie, że najważniejszy dla mnie jest Lwów. Starłam się gromadzić jak najwięcej informacji o tym mieście, czym ono było kiedyś dla Rzeczypospolitej, dla Polaków. Spotykałam wielu ludzi, którzy pamiętali dawny Lwów i dawne życie na Kresach, nagrywałam ich. Cieszę się, że nagrałam tylu wspaniałych ludzi, że miałam możliwość ich spotkać, dotknąć ich, porozmawiać z nimi.



Dedykacja od Włady Majewskiej.

Zaczęłam nadawać korespondencje ze Lwowa do różnych rozgłośni w Polsce, ale także za granicą – w tym do Chicago oraz do polskiej sekcji Radia BBC w Londynie. Dostałam zaproszenie do Anglii, gdzie spotkałam się z legendą przedwojennego Radia Lwów Władą Majewską. Była wówczas ostatnią żyjącą osobą, która w tym radiu pracowała. Podczas nagrania wywiadu pani Włada rozplakała się i powiedziała: *Wszystko bym oddała, aby tylko wrócić do Lwowa*. Usiłowałam jej wytłumaczyć, że tamtego Lwowa już nie ma, że to jest już inne miasto. A ona wówczas zauważyła: *Tak, to prawda, ale miasto to nie są tylko kamienice. Miasto to przede wszystkim ludzie, którzy tworzyli ten niesamowity Lwów, którzy decydowali o jego klimacie i charakterze*. To spotkanie utkwiło mi w pamięci do końca życia. Na półce pozostało kilka książek, podarowanych mi przez nią z dedykacją... Włada Majewska zmarła w wieku stu lat.

Kiedy ci znani i mniej znani ludzie zaczęli odchodzić, nagle zaczęłam mieć pretensje do siebie, no bo przecież mogłam spotkać się z nimi, wysłuchać ich, nagrać, ocalić wiele ciekawych informacji, refleksji i przeżyć.

JSz: Wiem o czym mówisz... Ja już dawno uświadomiłem sobie, że nie ma takiej możliwości, aby do wszystkich ludzi, którzy nas

zadziwiają czy zachwycają, dotrzeć, aby z nimi porozmawiać i utrwalić ich wiedzę i refleksje. Jeśli uda nam się zatrzymać w czasie chociaż niektórych z nich, to już jest powód do satysfakcji.

AG: Najpierw, kiedy jesteśmy dziećmi, widzimy, że odchodzą ludzie w wieku naszych dziadków, a potem w wieku rodziców. Teraz odchodzą nasi rówieśnicy... To zaczyna się rozumieć dopiero wówczas, kiedy człowiek osiąga wiek dojrzały. Dlatego zaczynam się śpieszyć, aby spotkać i nagrać jak najwięcej wspaniałych ludzi. Wiele wypowiedzi tkwi w mojej głowie, zmuszają mnie do refleksji. To jest to, co nas rozwija. Ksiądz Jan Twardowski napisał genialne słowa w swoim wierszu: *Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą...*

JSz: Ile lat pracowałaś w Polskim Radiu Lwów? Kiedy i dlaczego z niego odeszłaś?

AG: Praca w radiu mnie fascynowała, wszystko co robiliśmy dawało nam radość, odczuwaliśmy, że jesteśmy potrzebni w polskim środowisku we Lwowie. Łączyły nas młodość, pasja i satysfakcja z pracy społecznej. Przepracowałam w radiu prawie 20 lat. Odeszłam na początku 2014 roku.

Zawsze jest tak, że coś się kończy... Postanowiłam poszukać dla siebie innego miejsca. Nie wolno bać się wyzwań, czegoś nowego. Jeśli coś przestaje się układać albo czujesz, że

drepczesz w miejscu, to warto to zmienić. Odeszłam z radia i po kilku miesiącach dostałam propozycję pracy w „Kurierze Galicyjskim”.

Nie przyszło mi to lekko. Na szczęście za mocno nie bolało, bo jednak zostałam w mediach i robię to, co robiłam wcześniej, tylko troszeczkę inaczej.

JSz: Czym zajmujesz się w „Kurierze Galicyjskim”, jaką problematyką?

AG: „Kurier Galicyjski” powstał 8 lat temu. Jego założycielem, wydawcą i redaktorem naczelnym jest Mirosław Rowicki. On sam mówi, że kiedyś opíše swoją historię w pamiętnikach – zostawię więc to jemu. „Kurier Galicyjski” to największe polskie medium na Ukrainie. To nie tylko „papierowa” gazeta o nakładzie przekraczającym 10 tysięcy egzemplarzy. To także portal internetowy z powodzeniem spełniający rolę internetowej gazety codziennej – www.kuriergalicyjski.com. Wydajemy też pismo dla dzieci „Polak Mały”. Dwa lata temu powstała nasza telewizja, dostępna na razie w internecie na kanale YouTube: www.youtube.com/user/Kuriergalicyjski.

Niedawno ruszyło we Lwowie nasze radio, które współpracuje z Radiem Wnet w Warszawie, prowadzonym przez Krzysztofa Skowrońskiego. Na pewno będziemy się rozwijać. Na łamach

gazety czytelnik może znaleźć różne tematy: od kulturalnych, sportowych, historycznych, poprzez społeczne, po aktualne wydarzenia polityczne. Jeśli trzeba przygotować bieżące informacje czy materiały to oczywiście to robię, ale przede wszystkim postanowiłam robić dalej to, co robiłam przez tyle lat w radiu – chcę zachować w pamięci swojej i ludzi te postacie, które są tego warte, bo są – bądź byli – wielkimi Polakami. Staram się też odnajdywać i nagrywać ciekawych ludzi z Kresów.

W pewnym momencie w „Kurierze Galicyjskim” moim żywiołem stała się telewizja. Film, pokazujący człowieka i zawierający jego wypowiedzi, ma zdecydowanie większą wartość dokumentalną, aniżeli sam głos nagrany na taśmie czy na elektronicznym rejestratorze. Staram się więc takie materiały filmowe obecnie realizować.

Rok temu, podczas Przeglądu Filmów Polskich „Pod Wysokim Zamkiem”, odbyło się spotkanie z legendą polskiego kina Danutą Szaflarską. Miałam możliwość zadania kilku pytań słynnej aktorce i oczywiście zapytałam, czy była kiedykolwiek we Lwowie. Odpowiedziała, że dawno marzyła o tym, aby przyjechać do naszego miasta. Przyznała się, że przed wojną miała propozycję studiowania we Lwowie, ale nie zdążyła... A wojna zmieniła wszystkie plany. To wspomniała aktorka, kobieta pełna pogody ducha – z takich ludzi trzeba brać przykład. Jak uśmiech upiększa każdego człowieka. W wieku 99 lat przyjechała po raz

pierwszy do Lwowa! Czyli nigdy nie jest za późno.

Później obejrzelismy film dokumentalny o jej życiu i twórczości. Wyszłam ze spotkania zauroczona panią Danutą i natchniona. Spotkałam przy wyjściu z kina Zbigniewa Chrzanowskiego – aktora, reżysera i dyrektora Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie. Zapytałam go, czy zgadza się na to, abym nakręciła film o nim i o teatrze...

Obecnie pracuję nad największym swoim dziełem – 30-minutowym filmem dokumentalnym, który będzie nosił tytuł „Moje magiczne miejsca”. Jest to sentymentalna wędrówka Zbigniewa Chrzanowskiego, z którym odwiedzamy najważniejsze miejsca związane z historią i działalnością przedwojennej sceny polskiej we Lwowie. Film ten był przedstawiony na festiwalu filmów emigracyjnych EMIGRA w Warszawie.

JSz: Czy „Kurier Galicyjski” jest dostępny w Polsce?

AG: Jest to aktualnie największe polskie pismo dostępne w całej Ukrainie. Ma się dobrze i nawet się rozwija. Jest dostępne w Warszawie i Przemyślu. Można też zamówić prenumeratę do Polski i innych krajów za pośrednictwem naszej redakcji. Wystarczy wysłać e-mail na adres kuriergalicyjski@wp.pl. Jeśli ktoś chce zobaczyć, co i jak robimy, to mamy, jak już wspomniałam, własny portal internetowy:

www.kuriergalicyjski.com Tam też można przeczytać każdy numer „Kuriera” w pdf-ie, a także obejrzeć nasze filmy. Mamy sporo współpracowników w Polsce, piszą też do nas pasjonaci z całego świata. Główna siedziba redakcji jest we Lwowie.

JSz: Jakie inne polskie media – oprócz Polskiego Radia Lwów i „Kuriera Galicyjskiego” – istnieją we Lwowie i innych miastach Ukrainy?

AG: We Lwowie nie ma aktualnie innych polskich mediów, oprócz tych, które wymieniłeś, jeśli nie liczyć wydawanego w niewielkim nakładzie kwartalnika Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie – „Nasze Drogi”. Nie mamy tu też żadnych gazet z Polski. Nie ma już, niestety, polskiej księgarni, która istniała w czasach Związku Radzieckiego. Niestety teraz, kiedy ludzie często nie mają na chleb, a ceny polskich książek są wysokie – po prostu nie stać ich na taki wydatek. Dzięki internetowi nie ma dzisiaj problemu ze słuchaniem polskich stacji radiowych czy oglądaniem programów telewizyjnych – niestety, większość z nich jest zakodowana.

Na Ukrainie jest kilka polskich rozgłośni radiowych i telewizyjnych. Poza Lwowem i Stanisławowem, gdzie nadawana jest w eterze, tworzona przez „Kurier Galicyjski”, audycja „Na polskiej fali”, istnieje też polska rozgłośnia w Berdyczowie. Polskie audycje telewizyjne nadawane są w Winnicy, Żytomierzu

i Łucku.

Wydawane są też polskojęzyczne gazety. W Winnicy, na Podolu, jest to miesięcznik „Słowo Polskie”, a w Kijowie dwutygodnik „Dziennik Kijowski” i kwartalnik „Krynica”. W mieście Ostróg wydawane jest „Wołanie z Wołynia”, a w Berdyczowie – „Mozaika Berdyczowska”. W Łucku wydawane jest dwujęzyczne pismo „Monitor Wołyński”. Istnieje też kilka lokalnych czasopism, które jednakże są wydawane w niewielkim nakładzie.

JSz: Aniu, poznaliśmy się latem, w roku 1998, w Clifton w stanie New Jersey, kiedy przyjechałaś do USA na zaproszenie Iwony Rachelskiej, ówczesnej szefowej telewizyjnego programu Studio 3. Udzieliłaś mi wywiadu, który ukazał się na łamach „Nowego Dziennika”. Mówiłaś wówczas pięknie o swoich trzech miłościach... Przypomnij zatem, jakie są te twoje miłości.

AG: Miałam wtedy trzy swoje miłości: polski Lwów, polską szkołę imienia Marii Magdaleny i Polskie Radio Lwów. Radio Lwów na pewno pozostanie dla mnie ważnym miejscem, bo oddałam mu prawie 20 lat swojego życia. Wielokrotnie groziło mu zamknięcie. Ratowaliśmy je dzięki wsparciu przyjaciół z zewnątrz – między innymi dzięki tobie, Januszu. Dzisiaj i zawsze będę tym wszystkim osobom wdzięczna, że pomagali nam ratować radio. A przecież była to nasza praca społeczna, płynąca z potrzeby serca. Dzisiaj doszła jeszcze czwarta miłość – do „Kurier

Galicyjskiego”.

Moje córki w pewnym momencie nawet się na mnie obraziły, że tak mówiłam, ale wyjaśniłyśmy sobie, że dom i rodzina to jest moja sfera prywatna, która podlega ścisłej ochronie i oczywiście jest dla mnie najważniejsza.



Anna Gordijewska, fot. Janusz Szlechta

JSz: W 2002 roku spotkaliśmy się ponownie, tym razem w Tarnowie, podczas X Światowego Forum Mediów Polonijnych, które przez dwadzieścia lat organizowało Małopolskie Forum

Współpracy z Polonią. Ja przyjeżdżałem jako dziennikarz nowojorskiego „Nowego Dziennika”, a ty jako dziennikarka Polskiego Radia Lwów. Wróćmy więc na chwilę do tamtych czasów, Forum dla dziennikarzy polskich rozsianych po świecie było bowiem bardzo ważnym wydarzeniem. Nie sposób o nim zapomnieć...

AG: Forum było ogromnie ważnym wydarzeniem, połączyło bowiem polskich dziennikarzy ze Wschodu z tymi z Zachodu. Dzięki Forum stało się coś, co było praktycznie nieosiągalne, ba, trudno było sobie coś takiego wyobrazić. My ze Lwowa, dzięki Forum, zyskaliśmy możliwość bezpośredniego kontaktu z kolegami z krajów zachodnich, także z USA. Te kontakty znakomicie owocują do dziś. Zawiązały się liczne przyjaźnie, nawzajem odwiedzamy się w różnych krajach, wspomagamy się dziennikarsko. Jak ktoś zajrzy na chwilę do Polski, natychmiast pędzimy jeden do drugiego, aby bodaj na chwilę się spotkać. Czegoś takiego nie mogłabym nawet wyśnić...

To, co robiliśmy na Forum Mediów Polonijnych, co przeżywaliśmy, czego uczyliśmy się – dzisiaj mogę to zupełnie szczerze powiedzieć – jest to nasz ogromny kapitał, który procentuje do dziś. Cały czas byliśmy przed kamerami i mikrofonami polskich stacji telewizyjnych i radiowych, udzielaliśmy wywiadów nawzajem jeden drugiemu – i to mnie również bardzo inspirowało. Dzisiaj bardzo żałuję, że wówczas

nie nagrałam wywiadów z osobami, które już odeszły. Właśnie dopiero wtedy, kiedy ktoś odejdzie na zawsze, łapiemy się za głowę i mówimy: a dlaczego nie nagrałam z nim rozmowy, nie utrwalłam tego, co ten człowiek miał do powiedzenia?!

Dzięki Forum moje Radio Lwów nawiązało współpracę z polskim radiem w Chicago. Co środe jeden z dziennikarzy telefonował do nas i przekazywał informacje nie tylko o tym, co działo się w środowisku polonijnym, ale również o normalnym życiu Ameryki.

Kiedy przyjechał do Lwowa Jan Paweł II w 2001 roku, dzwonili do nas i pisali koledzy z Ameryki, ze Szwecji czy z Argentyny i pytali, jak wygląda Lwów przed przyjazdem papieża, co robimy, jak się przygotowujemy... Bo akredytowani dziennikarze przyjechali do Lwowa dopiero w dniu przyjazdu papieża. Podobnie było wówczas, kiedy wreszcie nastąpiło otwarcie Cmentarza Orląt Lwowskich w 2005 roku. Aby oddać atmosferę, wiedzieć coś więcej, trzeba być jednak na miejscu, trzeba w tym wydarzeniu uczestniczyć... a my byliśmy na miejscu.

JSz: Jedną z najstarszych istniejących polskich instytucji kulturalnych we Lwowie jest Polski Teatr Ludowy, który został założony w 1958 roku. Od wielu lat jesteś związana z tym teatrem, grywasz w różnych sztukach. Jak to się stało: przypadek czy autentyczna potrzeba zaprowadziła Cię na scenę?

AG: To było w maju w roku 2001. Zadzwoiła do mnie Jadwiga Pechaty, moja koleżanka, od zarania dziejów grająca w tym teatrze. *Aniu, przygotowujemy „Kartotekę” Różewicza – powiedziała – i potrzebujemy pilnie, aby ktoś zagrał dziennikarkę. Pomyślałam sobie, że ty będziesz świetna w tej roli – dodała. Byłam zaskoczona, zmieszana. Nie wiem, czy sobie poradzę? – próbowałam się bronić. Nie martw się, poradzisz sobie – przekonywała mnie Jadwiga.*

No i zgodziłam się. Była to ostatnia scena. Usiadłam na łóżku, wzięłam do ręki mikrofon i zaczęłam rozmawiać z głównym bohaterem, którego grał Zbigniew Chrzanowski. Pamiętam do dziś, jak drżała mi ze zdenerwowania ręka, w której trzymałam mikrofon. Przerażona pomyślałam, żeby tylko głos mi tak nie drżał... Ale w tym momencie nastąpiło olśnienie. Uświadomiłam sobie, że przecież w przeszłości kilka razy przeprowadzałam wywiady z panem Chrzanowskim – dyrektorem teatru, który kieruje nim do dziś. Oddzieliłam widownię od siebie i zaczęłam z nim rozmawiać tak, jak kiedyś, kiedy we dwoje siedzieliśmy i rozmawialiśmy... A to, że pytania wymyślił Różewicz, wcale mi nie przeszkadzało. Wszyscy koledzy aktorzy bali się, jak to wyjdzie, bo to była praktycznie improwizacja w moim wydaniu, nie było bowiem czasu na przygotowania. Stali za kulisami i patrzyli, i wsłuchiwali się. Udało się i wszyscy odetchnęli z ulgą. Od tego momentu rozpoczęła się moja przygoda z teatrem.

JSz: Jest to teatr wprawdzie amatorski, ale prezentuje świetny poziom, stawia wysokie wymagania aktorom i niełatwo dostać się do zespołu – oznacza to, że jesteś po prostu szczęściarą.

AG: To nie ulega wątpliwości. Dyrektorem teatru i głównym reżyserem jest Zbigniew Chrzanowski – postać wielka i znana. W spektaklach gra wiele wspaniałych aktorek, które poświęciły się temu teatrowi bez reszty. Przeważają Polacy, ale są też Ukraińcy i Rosjanie. Warto wspomnieć, że wiele lat pracował w tym teatrze – jako scenograf i aktor – Walery Bortiakow, który był Rosjaninem, Sybirakiem. Tak zakochał się w tym polskim teatrze, i tak mu dobrze było wśród Polaków, że często podkreślał: *Ja jestem największym Moskalem wśród Polaków*.

Niestety, kilka lat temu odszedł od nas na zawsze. Pomagał w przygotowaniu dekoracji na obchody Święta 3 Maja i spadł z drabiny. Wkrótce potem zmarł. Miał niewiele ponad 60 lat. Bardzo nam go brakuje. Na początku lipca 2015 roku Jadzia zaprosiła kolegów i koleżanki do siebie. *Dzisiaj są urodziny Walerego. Spotkajmy się* – napisała na Facebooku. Dzięki takim spotkaniom mamy nadzieję, że Walery patrzy na nas z góry i się cieszy. Znowu byłam szczęściarą, że miałam okazję go poznać i pracować z nim.

Teatr wystawia ambitne sztuki we Lwowie, ale znają nas też w Polsce, w Czechach i na Litwie. Bierzymy udział w licznych

festiwalach teatrów polonijnych. I wówczas często spotykam przyjaciół, którzy kiedyś uczestniczyli w Światowym Forum Mediów Polonijnych.

Jest to teatr amatorski, ale są to amatorzy zaawansowani, którzy grają od wielu lat. Każdy musi pracować, bo z czegoś trzeba żyć, ale teatr jest naszą pasją. Czujemy się jedną wielką rodziną. Najfajniejsze są momenty, kiedy siedzimy wszyscy w autobusie, a przed nami długa droga... Wtedy jest czas, aby porozmawiać, nacieszyć się sobą. Teatr stał się dla mnie bardzo ważny.



Pomnik Adama Mickiewicza we Lwowie.

JSz: Jakie spektakle prezentujecie? Jakie role grywasz?

AG: Gram na ogół malutkie role, ale nie to jest najważniejsze. Cieszę się, że jestem w teatrze, że mogę uczestniczyć w różnych spektaklach i w życiu ludzi tego teatru. W końcu nie każdy może być w życiu gwiazdą!

Ludzie powinni czasami zatrzymać się w swoich ambicjach, pomyśleć nieco inaczej o sobie, o życiu. Nam jest razem dobrze – i to jest najważniejsze.

JSz: No dobrze, ale nie powiesz mi, że ot, tak sobie, z przypadku, zostałam aktorką i to Cię cieszy. Nigdy nie marzyłam o tym, aby występować na scenie, grać w filmach, nie próbowałam się realizować jako aktorka?

AG: Oczywiście, że marzyłam o tym, żeby być gwiazdą. Kiedyś, jako mała dziewczynka, na podwórku wystawiałam spektakle swojego teatru lalkowego, reżyserowałam spektakle według znanych bajek. Była kurtyna, dzieciarnia na widowni, bilety – wszystko jak w krainie Melpomeny.

W szkole podstawowej im. Marii Magdaleny był teatr, który

prowadziła nasza polonistka, pani Maria Iwanowa. Teatr ten nazywa się Baj i do dziś działa. Pani Maria wymyśliła kiedyś coś takiego, że para ubrana po krakowsku podchodzi do półki, zdejmuje z niej książkę, otwiera i nagle ożywają postacie z tej książki. Ja grałam rolę pani Słowikowej – miałam wtedy 9 lat. Ubrana byłam w piękny strój, który zrobiła mi mama. A sąsiad, który był malarzem, namalował do tego stroju pióra. Martwiłam się bardzo, dlaczego nie wraca do domu mój mąż – pan Słowik. A kiedy wreszcie się pojawił, powiedział: *Przyszedłem późno, bo wieczór był tak piękny, że szedłem piechotą.* Po spektaklu podszedł do mnie pan Leszczyc – starszy, dystyngowany pan, który uznał, że najlepiej prezentowałam się na scenie i wręczył mi ogromny kosz kwiatów. Były to pierwsze kwiaty, jakie otrzymałam od mężczyzny.

Kiedy byłam w ósmej klasie, zagrałam poważną rolę – byłam Telimeną w „Panu Tadeuszu” Adama Mickiewicza. Ale nie zbierałam mrówek... Pamiętam swoją kreację, która była pożyczona z Teatru Polskiego. Miałam wówczas długie włosy i mama zrobiła mi francuskie loki – długimi szczypcami, które rozgrzewała na gazie. Meble i lustra, które stały na scenie, pożyczały nam starsze wówczas panie, Polki – bo to były zachowane dobra rodowe. Wyszłam na scenę, potknęłam się, bo z trudem dźwigałam swój strój i omal nie upadłam nosem wprost w wystający gwóźdź. Zdołałam jednak utrzymać równowagę, ale z wrażenia zapomniałam swojej roli. Na szczęście wszystko

dobrze się skończyło.

JSz: Jesteś dziennikarką, bo wybrałaś ten zawód, ale jesteś również aktorką. No i jesteś przewodnikiem po Lwowie – masz stosowny dyplom. To też był Twój świadomy wybór, wynikający z wewnętrznej potrzeby?

AG: Kiedy pracowałam społecznie w Radiu Lwów, gdzieś musiałam zarobić na swoje potrzeby i utrzymanie rodziny. Zarabiałam więc jako przewodnik po Lwowie. Pierwszą wycieczkę oprowadziłam w 2000 roku. Nigdy wcześniej nie przypuszczałam, że będę wykonywać dwie prace, które związane są z mikrofonem i gadaniem.

JSz: Czy teraz także, mimo wojny na wschodzie Ukrainy, oprowadzasz wycieczki po tym pięknym mieście?

AG: Oczywiście. Lwów, mimo wszystko, jest wciąż bardzo popularnym miastem wśród turystów. Nic dziwnego, drugiego takiego miasta przecież nie ma, a lwowska Starówka jest na światowej liście zabytków UNESCO.

Lwów żyje normalnie, jest piękny i pełen ludzi. Muszę jednak powiedzieć, że rok 2014 nie był dla przewodników dobry. Wojna sprawiła, że ludzie bali się podróżować. Po pewnym czasie Lwów znów zaczął przyciągać ludzi ze świata. W 2015 roku najwięcej

przyjeżdża turystów z Polski – są to często podróże sentymentalne, powroty do przeszłości. Jeśli zapytam kogoś z Polski, co go tu, do Lwowa, sprowadziło, to prawie każdy odpowiada, że we Lwowie albo okolicach mieszkała kiedyś jego rodzina. Ktoś powiedział kiedyś, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, a mnie się wydaje, że drogi prawie wszystkich Polaków prowadzą do Lwowa.

Zawsze podkreślałam, że kocham rzeczy piękne, bo urodziłam się w pięknym mieście. We Lwowie można dotknąć ręką wszystkich stylów architektonicznych, poczynając od renesansu. Swoją gust i zamiłowanie do architektury kształciłam właśnie na ulicach Lwowa.

JSz: Czy pojawiają się we Lwowie turyści z krajów zachodnich?

AG: Tak. Niedawno, w Podhorcach koło Lwowa, gdzie znajduje się jeden z najpiękniejszych polskich pałaców – pałac Koniecpolskich i Rzewuskich – spotkałam turystów, którzy przyjechali samochodem z rejestracją czeską. Okazało się, że byli to Niemcy. Kiedy zapytałam ich, co tu robią, czego szukają, odpowiedzieli: *Wędrujemy śladami cesarza Franciszka Józefa*. Cesarz Austro-Węgier Franciszek Józef bywał w tym pałacu. Miał też swoją lożę w Operze Lwowskiej. Wychodziło się z niej bezpośrednio na dawną ulicę Legionów. Cesarz lubił przychodzić do opery podczas swoich pobytów w mieście, witał się z

publicznością, a kiedy chciał wyjść – bo podobno lubił bardzo wcześniej chodzić spać – to po prostu po cichutku wychodził.

JSz: Co najchętniej pokazujesz zwiedzającym? Masz swoje ulubione miejsca?

AG: Oczywiście, ale zazwyczaj mamy określony program, dostosowany do danej grupy. Inny jest program dla grupy przebywającej we Lwowie jeden dzień, inny jest na dwa dni; zdarza się, że przygotowujemy program zwiedzania na trzy dni, ale rzadko – wtedy zazwyczaj grupa udaje się poza Lwów. W programie każdej grupy jest zwiedzanie Cmentarza Łyczakowskiego i Cmentarza Orląt Lwowskich.

Fenomenem Lwowa było to, że do II wojny światowej był stolicą trzech biskupów: obrządku rzymskokatolickiego, obrządku greckokatolickiego i ormiańskokatolickiego. Nawet Rzym nie był stolicą trzech biskupów. A trzy katedry, istniejące do dziś, są przepiękne i te katedry zawsze pokazujemy turystom. Rzymskokatolicka szczególnie zapisała się w historii Polski, w niej bowiem 1 kwietnia 1656 roku złożył śluby król Jan Kazimierz.

W pałacu przy cerkwi świętego Jura, w 2001 roku, podczas jedynej wizyty we Lwowie, nocował papież Jan Paweł II. W tej cerkwi, pod batutą syna Mozarta – Ksawerego, odbyło się wykonanie słynnego „Requiem” napisanego przez ojca. Wybrał

Lwów na miejsce koncertu, gdyż bardzo polubił to miasto, będące wówczas pod zaborem austriackim. Stąd też mamy we Lwowie słynną restaurację Amadeusz. Turyści często się dziwią, co tutaj robił kompozytor Mozart. My wyjaśniamy, że to nie Mozart, lecz jego syn Ksawery tutaj bywał. Kiedy miał 18 lat, założył we Lwowie Towarzystwo Świętej Cecylii.

A katedra ormiańska powstała w połowie XIV wieku, są w niej wspaniałe freski Jana Rosena. Po gruntownej restauracji, została ponownie otwarta w roku 2004, a na jej otwarciu pojawił się we Lwowie Charles Aznavour.

Ja kocham Lwów i z radością oprowadzam ludzi po tym mieście. I mogę o nim opowiadać w nieskończoność...

JSz: Czy chcesz przez to powiedzieć, że turysta jest skazany na przewodnika?

AG: No, może nie aż tak... Ale z przewodnikiem łatwiej i szybciej można poznać miasto i zaprzyjaźnić się z nim. Każdy turysta jest inny, różną ma wiedzę historyczną: dla jednych podawanie dat, nazw i nazwisk jest bez sensu, bo i tak nic z tego nie rozumieją, a dla innych z kolei jest to nudne, bo to znają. Dlatego ja staram się opowiadać o Lwowie tak, jak pisali o nim Janicki czy Witold Szołginia. Już wielokrotnie mnie pytano, czy nie chciałabym napisać swoich opowieści o Lwowie. Owszem, chętnie, ale na

razie nie mam na to czasu. Ale pomyślę o tym. Te opowieści dobrze jest ilustrować, bo turysta lubi oglądać obrazy czy zdjęcia, które pozostają w pamięci.

Najtrudniej jest oprowadzać młodzież, bo nie jest łatwo ją zaciekawić. Często robię więc tak, że ogłaszam konkursy z nagrodami. Pokazuję im na przykład widokówki, a potem pokazuję te obiekty, które widzieli na widokówkach. I jeśli ktoś zgadnie, że zabytkowy obiekt, który właśnie oglądamy, pokazałam na drugiej widokówce – ten otrzymuje nagrodę. I to sprawia, że młodzi ludzie zapamiętują to, co oglądali. Staram się też przeplatać opowieści o Lwowie moimi wspomnieniami o tym mieście: co mówiły moje babcie, co opowiadała mi mama, przytaczam fajne powiedzonka, recytuję czasem zapomniane wiersze... To sprawia, że ta opowieść o mieście nie jest jedynie historią, a miasto staje się normalne, bliższe.



Ulica we Lwowie.

JSz: Urodziłaś się i wychowałaś we Lwowie, w dawnym Związku Radzieckim, w zupełnie innych realiach niż dzisiejsze. Udało Ci się jednak zachować polskość, świetnie mówisz po polsku. Czy to zasługa domu rodzinnego?

AG: Pochodzę z rodziny mieszanej: mój ojciec jest Rosjaninem, urodził się na Syberii, ale matka jest Polką z krwi i kości. Poza ojczyzną nie jest łatwo zachować polskość. A trzeba pamiętać, że my nie jesteśmy na emigracji – my jesteśmy Polakami, od których ojczyzna odeszła. Moja mama Maria zadbała o to, aby w domu wszyscy mówili po polsku, aby żyły polskie tradycje i polski

język. Matka Polka to potrafi. W małżeństwach mieszanych wszystko w rodzinie zależy od matki Polki.

Ale też ważne jest to, w jakim środowisku się żyje. We Lwowie mamy dwa polskie kościoły: katedrę i kościół św. Antoniego, które nigdy nie były zamknięte, podobnie jak dwie polskie szkoły – i to nas uratowało. Bywając w innych miasteczkach i miastach na Ukrainie zrozumiałam, że tam, gdzie nie ma kościoła z mszą odprawianą po polsku, albo szkoły polskiej – język polski ginie. Zachować go w rodzinach, które najczęściej są mieszane – jest bardzo trudno.

Mama oddała mnie do polskiej szkoły, pomimo że w tamtych latach – a były to lata 60. – ani nie było to dobrze widziane, ani też nie przynosiło prestiżu. Dzisiaj szkoły polskie są bardzo modne, między innymi dlatego, że od kilku lat nasza młodzież może studiować w Polsce. Zasada jest taka: Polska kształci naszą młodzież po to, aby potem wracała do Lwowa i na Ukrainę. Ale niewielu wraca. I nie można mieć im tego za złe.

JSz: Klasycznym przykładem są Twoje córki...

AG: To prawda. Obie skończyły we Lwowie polską szkołę, w której ja się uczyłam, a potem studiowały w Polsce. Skorzystały ze specjalnego programu Ministerstwa Edukacji Narodowej dla rodzin pochodzenia polskiego. Kasia jest lekarzem chirurgiem, a

Eliza jest farmaceutką. Obie mieszkają i pracują w Krakowie. Nasze pokolenie nie miało tej możliwości, aby studiować w Polsce. Dzisiaj jestem szczęśliwa, że moje córki mogły studiować w Polsce, że żyją i pracują w Krakowie.

JSz: Dzięki Światowemu Forum Mediów Polonijnych bywałaś raz w roku w Polsce. Teraz w Polsce bywasz bardzo często, no bo trudno żyć z dala od dzieci i wnuków. Jak ją odbierasz, jak się tutaj czujesz?

AG: Różnie Polacy mówią o swojej ojczyźnie, ale dla mnie Polska jest wspaniałym krajem. Najczęściej bywam w Krakowie, u moich córek, bo teraz mogę. Bacznie obserwuję Polskę od roku 1979. I muszę powiedzieć, że Polska bardzo się zmieniła, wypiękniała. Wioski i małe miasteczka, kiedyś brzydkie, zacofane i biedne, dzisiaj są piękne, zadbane, robią wspaniałe wrażenie. Polska nie musi się już wstydzić, jak kiedyś, pokazywać ludziom ze świata. Bo jest piękna!

JSz: Wciąż pędzisz, trudno za tobą nadążyć... Ale często uśmiechasz się, a zatem nie jest źle. Czujesz się spełniona?

AG: Jestem szczęśliwym człowiekiem, bo robię to, co lubię... Staram się cieszyć każdym dniem, każdym napotkanym człowiekiem, zrealizowanym wywiadem – bo uświadamiam sobie, że przecież nie dam rady sama wszystkiego zrobić, spotkać się ze

wszystkimi, nagrać, utrwalić. To nie jest możliwe.

Kiedy zaczęłam pracować jako dziennikarka, moja mama w pewnym momencie powiedziała mi: *Ty zaczynasz robić za gwiazdę*. Wydaje mi się, że każdy, kto ma do czynienia z pracą twórczą, a więc aktor, dziennikarz czy malarz, w pewnym momencie jest dostrzegany przez ludzi, idą za tym nagrody, wywiady, uznanie. Zaczyna rosnąć, a nawet – jak mówiła moja babcia – woda sodowa troszeczkę uderza do głowy. Bo człowiek powinien być dowartościowany, czuć, że robi to, co jest ważne dla niego i dla innych. A ja czuję się dowartościowana. Także wtedy, kiedy ktoś, kogo oprowadzałam po Lwowie, mówi mi, że dziękuje mi za to, co mu pokazałam i o czym mówiłam, i że musi tutaj jeszcze wrócić.

JSz: Kiedy po odwiedzinach córek w Krakowie wracasz do Lwowa, nie czujesz lęku, obawy, że może jednak trzeba było zostać tam, nad Wisłą, bo tam jest spokojnie, pięknie i bezpiecznie?

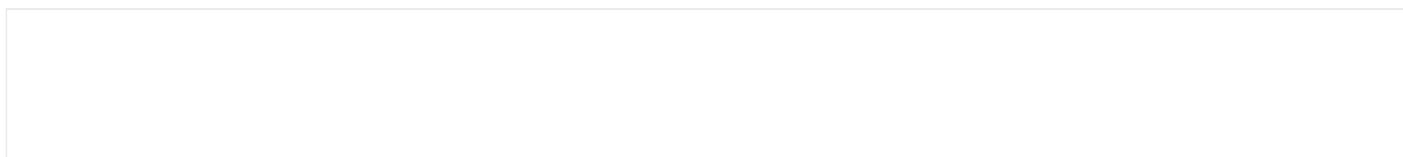
AG: Nigdy w życiu nie spodziewałam się, że będę żyć w kraju, w mojej ojczyźnie, w której będzie wojna. I chociaż ta wojna nie dotyka nas bezpośrednio, nie widzimy jej, ale ona jest bardzo blisko nas, czujemy ją.

Cieszymy się każdym dniem, cieszymy się życiem. Za dużo czasu

wszystkim Polakom, również we Lwowie, zajmują bezsensowne kłótnie. Zamiast kłócić się, powinniśmy się nawzajem wspierać, bo jest co robić. A kiedy będziemy się nawzajem szanować, rozumieć i wspierać, na pewno osiągniemy więcej i wszystkim nam będzie lepiej. Zawiesić zżera, a kłótnie zabierają czas i energię. Jeśli chcemy być bliżej siebie i pracować wspólnie, aby zachować polskie tradycje i kulturę – to powinniśmy unikać wszelkich waśni. Bo przecież wszyscy Polacy mamy jeden cel, zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie – żeby jak najdłużej zachować polskość. Róbmy więc jak najlepiej swoje.

JSz: Żałuję, że nie miałem nigdy okazji zwiedzać Lwowa pod Twoim przewodnictwem. Mam nadzieję, że któregoś dnia przyjadę do tego miasta, z którym i moja rodzina była kiedyś mocno związana, i oprowadzisz mnie po Lwowie...

AG: Zapraszam z całego serca. Pięknych miast na świecie jest bardzo wiele, ale Lwów pozostanie dla lwowiaków – także i dla mnie – najpiękniejszym miastem, bo... to są przede wszystkim sentymenty, bo tu serce przemawia. Pozostają wspomnienia z dzieciństwa. Kiedy do nas przyjeżdżają kresowiaczy, często mówią: *U was jest inne powietrze i nawet trawa jest innego koloru!*. Dalej więc robię swoje i... już się nie zatrzymam.



Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie”, wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.



Jak trwoga to do Basi

Rozmowa z Barbarą Kukulską - wiceprezes Rady Polonii Afryka Południe, redaktorką „Wiadomości Polonijnych” w Johannesburgu w Republice Południowej Afryki.



Republika Południowej Afryki, fot. Fotolia.

Janusz Szlechta: Jak trafiła Pani do Republiki Południowej Afryki. Dlaczego właśnie tam?

Barbara Kukulska: Jesteśmy z emigracji solidarnościowej.

Wyjechałam z Polski z mężem i dwójką dzieci, wówczas już nastolatków, kilka godzin przed wprowadzeniem stanu wojennego. To była trudna decyzja i brawurowa. Mąż Marek – który był adiunktem na Politechnice Łódzkiej, z tytułem doktora inżyniera mechanika – podpisał kontrakt w Południowej Afryce, stąd znaleźliśmy się właśnie w tym kraju. I w swym zawodzie natychmiast po przyjeździe rozpoczął pracę. Dostaliśmy od razu mieszkanie: 6-pokojowy dom, z olbrzymią kuchnią, dwiema łazienkami, garażem, pięknym ogrodem. Dom był wyposażony w nowe meble, nawet jedzenie było w lodówce. Warunki były wspaniałe. Mąż dostał też służbowy samochód.

JSz: A zatem mąż spełnił się na emigracji, znalazł swoje miejsce. A Pani?

BK: Ja też jestem inżynierem – włókiennikiem i odzieżownikiem. Zaraz po przyjeździe do RPA podjęłam pracę w fabryce, w swoim zawodzie – na podobnym stanowisku, które opuściłam w Polsce, bo zostałam szefem przygotowania produkcji. Dwie pensje, moja i męża, sprawiały, że musieliśmy płacić tak wysokie podatki, iż zdecydowaliśmy w końcu, że nie będę pracować. Pensja męża absolutnie nam wystarcza, ba, nawet mamy więcej pieniędzy niż wtedy, kiedy i ja pracowałam. A dzięki temu mogłam intensywniej zająć się działalnością społeczną.

JSz: Wiem, że wydaje Pani pismo „Wiadomości Polonijne” i

dlatego właśnie została Pani zaproszona we wrześniu 2005 roku na XIII Światowe Forum Mediów Polonijnych do Tarnowa i na Śląsk. Co to jest za pismo, kiedy się narodziło, do kogo jest adresowane?

BK: Powstało w 1948 roku. Wówczas nosiło nazwę „Pod Krzyżem Południa”. Mam parę archiwalnych numerów – było to bardzo ciekawe pismo. Potem jednak zmniejszyła się jego objętość do kilku kartek, a zawartość ograniczała się do informacji o Polakach żyjących w Johannesburgu, imprezach polonijnych oraz do komunikatów. Przeżywało różne kryzysy, ale cały czas było wydawane. Ukazuje się 10 razy w roku, ma nakład 200 egzemplarzy.

Kiedy przejęłam kierowanie tym periodykiem, zmieniłam jego nazwę na „Wiadomości Polonijne” i poszerzyłam o przedruki artykułów z Polski, wiadomości dotyczące życia politycznego i kulturalnego w ojczyźnie. Staram się bowiem cały czas podtrzymywać w rodakach polskość i chronić mowę polską. Teraz pismo liczy 16 stron, czasami 18, ma format A4 i jest wydawane na naprawdę wysokim poziomie. Bo też i Polonia w Południowej Afryce jest elitarna. Bardzo dużo jest ludzi po studiach w Polsce: lekarzy, nauczycieli, inżynierów. Pismo jest czytane, o czym świadczą telefony będące reakcją na informacje czy artykuły. Często jest tak, że jeśli pismo dotrze w odległe zakątki, to rodacy odbijają na ksero po 10-20 egzemplarzy i

rozsyłają dalej. To oznacza, że jest zapotrzebowanie na taką gazetkę. Czasami ktoś dzwoni albo pisze, aby mu przysłać egzemplarz.



Barbara Kukulska, Częstochowa, wrzesień 2005 r., fot. Janusz Szlechta.

JSz: Jak liczna jest redakcja? Kto finansuje pismo?

BK: Wszystko robię sama. Czasami pomaga mi moja córka

Magda, która przepisuje teksty. Staram się oczywiście namawiać ludzi, aby pisali o sobie i innych, o różnych wydarzeniach, ale bardzo trudno jest osiągnąć ostateczny efekt – czyli artykuł. Jedynie moja mama Maria Dulcka od czasu do czasu coś napisze. Wiem, że na nią mogę liczyć, mimo że skończyła niedawno 96 lat. W Polsce była nauczycielką. Do dziś jest aktywna fizycznie i umysłowo. Na swoje 96. urodziny napisała bardzo ciekawy artykuł o tym, ilu to przeżyła papieży. Okazało się, że... dziewięciu. Urodziła się w 1909 roku, kiedy na Stolicy Piotrowej zasiadał Benedykt XV, a teraz doczekała Benedykta XVI. Nazywana jest „matką Polonii południowoafrykańskiej”. Służy wszystkim radą i cieszy się wielkim szacunkiem. Dla mnie jest i powiernikiem, i doradcą, i pierwszym czytelnikiem. Jak usłyszę jej ocenę: *Basiu, jest dobrze. Nie zaniżaj poziomu!* – to jest to dla mnie największa pochwała, dodaje mi skrzydeł.

Pismo oczywiście nie przynosi żadnego dochodu, rozprawdzam je za darmo. Czasami ktoś da mi parę randów za gazetę. Mam stałych odbiorców, od których czasami dostaję dotację.

JSz: Jak liczna jest Polonia południowoafrykańska. Czy ma swoje organizacje?

BK: Polonia w Południowej Afryce, w rejonie Johannesburga i Pretorii – która jest zimową stolicą kraju (letnią jest Kapsztad) – liczy, według naszych szacunków, około 35 tys. osób. W Pretorii

jest polska ambasada i konsulat.

Oczywiście, że mamy swoje organizacje. Ja jestem prezesem Zjednoczenia Polskiego w Johannesburgu. Założycielami tej organizacji byli ci, którzy jako dzieci – przez Syberię – dotarli do RPA. Kiedy te dzieci dorosły, poczuły potrzebę utrzymywania kontaktów ze sobą i z krajem. I w ten sposób w Johannesburgu powstał Związek Osadników Polskich. Z tego związku wyłoniły się potem wszystkie polskie organizacje w Południowej Afryce. Jest ich teraz sporo: Zjednoczenie Polskie, Stowarzyszenie Techników, Stowarzyszenie Kombatantów i Lotników, do niedawna istniało Stowarzyszenie Lekarzy, Rada Polonii. Jest również szkoła polska. Niedawno zorganizowałam zespół taneczny.

Stworzyłam też grupę sybiraków. Z okazji obchodów 65-lecia zbrodni katyńskiej rozpropagowałam w RPA apel, aby wszyscy ci, których ojcowie, wujkowie czy bracia zginęli w Katyniu, zgłosili się do mnie. No i zgłosiło się 15 osób. Zrobiłam to po to, aby wysłać do zarządu Stowarzyszenia Rodzin Katyńskich w Warszawie informację o tych ludziach i zgłosić chęć współpracy.

JSz: Wróćmy do Zjednoczenia Polskiego – czym się zajmujecie?

BK: Organizacja liczy dzisiaj około 200 członków. Są też członkowie honorowi, rozsiani po całym świecie. Mamy liczne

grono sympatyków, którzy uczestniczą w naszych spotkaniach, imprezach i uroczystościach. Przede mną prezesem Zjednoczenia Polskiego był przez 20 lat Jerzy Wallas. Dzisiaj liczy sobie 90 wiosen i mieszka w Durbanie, 600 kilometrów od Johannesburga. Nazwałam go „tata organizacji”, bo do dziś się interesuje naszymi problemami, często do mnie dzwoni i wspiera duchowo w różnych sprawach. Bywa, że całe noce spędzam przy komputerze, a w ciągu dnia dzwonię i jeżdżę, załatwiając różne sprawy czy pomagając rodakom w nieszczęściach. No bo jak trwoga, to do Basi!

Problemy są różne. W RPA można jechać samochodem 120 kilometrów na godzinę, ale bywa, że ludzie jeżdżą i 200 km. Kolej jest słabo rozwinięta, więc transport jest głównie samochodowy. Trasy są długie, na drogach jest mnóstwo ciężarówek, więc łatwo o wypadek. Jeśli wypadek ma Polak, który nie ma ubezpieczenia i nie zna języka, to wtedy często mnie proszą o pomoc. Mamy wielu polskich lekarzy, więc staram się ich mobilizować, aby bezinteresownie udzielili pomocy rodakowi. Przeważnie ze wszystkimi jestem po imieniu, bo to ułatwia kontakty.

Znałam kobietę, która wyszła na jakieś spotkanie biznesowe i nie wróciła. Po jakimś czasie znaleziono jej ciało. Prawdopodobnie było to morderstwo. Jej mąż był pochodzenia holenderskiego. Przepadł gdzieś wraz z 2-letnią córeczką. Dziadkowie, rodzice zabitej kobiety, poszukiwali wnuczki i nie mogli jej znaleźć.

Wreszcie okazało się, że ojciec zostawił ją u znajomych Afrykańczyków i... zniknął na rok. Aby dziadkowie mogli zaopiekować się dzieckiem, musieli mieć decyzję sądu. Kiedy zwrócili się do mnie o pomoc, zajęłam się sprawą. Przemówiłam do serc ambasadora i konsula. I rzeczywiście pomogli. Dziewczynka dostała obywatelstwo polskie i zajęli się nią dziadkowie. Była niedawno w Polsce. Teraz ma 10 lat.



Barbara Kukulska

JSz: Zjednoczenie Polskie przyczyniło się do postawienia pomnika Katyńskiego w Johannesburgu w 1981 roku. Podobno

był to pierwszy taki pomnik poza granicami Polski...

BK: Trwają w tej kwestii spory. W Londynie mówią, że oni pierwsi postawili pomnik Katyński, bo już w 1976 roku. W Australii taki pomnik stanął w 1980. Tyle że w Londynie pomnik znajduje się na cmentarzu, zaś australijski to wmurowana tablica w ścianę Domu Polskiego w Sydney. Tymczasem nasz, w Johannesburgu, jest to pomnik zbudowany w miejscu publicznym, na gruncie państwowym. Z okazji 20-lecia jego odsłonięcia zorganizowałam wielkie uroczystości, upamiętniające ofiary sowieckiej zbrodni w Katyniu.

Jest to pomnik unikalny. Wówczas, kiedy stanął, w Afryce Południowej obowiązywał przepis, że w miejscach publicznych nie wolno było stawiać krzyży. Jest tutaj wiele religii i chodziło o to, aby nie urażać niczyich przekonań. Dlatego architekci polscy wymyślili taki pomnik, aby nie budził zastrzeżeń. Stały więc dwie potężne bryły, z wybranym środkiem, a przez ten prześwit patrzy się w niebo i na tle nieba widać krzyż. Są ponadto wmurowane trzy tablice i ziemia przywieziona z Katynia.

JSz: Jest Pani również wiceprezesem Rady Polonii Afryka Południe. Organizacja ta próbuje spełniać rolę podobną do tej, którą pełni Kongres Polonii Amerykańskiej w USA. Czy jest możliwa jedna reprezentacja Polaków mieszkających w RPA?

BK: Jest to organizacja starająca się skupić organizacje polonijne i być ich reprezentantem. Do Rady należy sześć organizacji z różnych miast oraz Stowarzyszenie Kombatantów i Lotników. Dostaliśmy dwa miejsca w parlamencie południowoafrykańskim. Jeden mandat właśnie ja sprawuję.

JSz: Czy utrzymujecie kontakty z Polską?

BK: Oczywiście, organizacja ta reprezentuje również Polonię południowoafrykańską w kontaktach z polskim rządem i parlamentem. Udało się nam zainteresować Senat RP naszymi sybirakami. W 2004 roku zorganizowałam im wycieczkę do Polski. Niektórzy byli w kraju po raz pierwszy od chwili wywiezienia ich przez Rosjan na Sybir. Byliśmy przez dwa tygodnie goszczeni w Polsce, m.in. w Częstochowie. Była to 35-osobowa grupa, w większości ludzie około osiemdziesiątki, ale wszyscy doskonale zniesli trudy i nikt nie zachorował.

Była to specyficzna grupa osób – w 1940 roku zostali wywiezieni przez Rosjan na Syberię, w 1943 trafili do Republiki Południowej Afryki. 500 polskich dzieci, sierot, zostało przywiezionych w 1943 roku do RPA na czas wojny. Gościnny rząd – wówczas Unii Południowo-Afrykańskiej – przyjął te dzieci jako przyszłych obywateli. Zdecydowana większość tam została, założyła rodziny.

JSz: Mówiła Pani o kultywowaniu tego co polskie, o

utrzymywaniu polskości. Czy ma to jakiś konkretny wymiar?

BK: Dwa lata temu założyliśmy Fundację Dziedzictwa Polskiego w Południowej Afryce. Jestem w ścisłym jej kierownictwie. Fundacja ma za zadanie odszukiwać ślady po Polakach, którzy żyli w RPA i czegoś dokonali. Wiemy na przykład, że słynny pisarz Józef Konrad Korzeniowski (Joseph Conrad) mieszkał w tym kraju wraz z córką – w Petermagritsburgu koło Durbanu. Dużo pamiątek zostało po żołnierzach Polakach, którzy uczestniczyli w II wojnie światowej w mundurach armii brytyjskiej. W roku 1944 południowoafrykańscy lotnicy nieśli pomoc walczącej Warszawie. Z dumą mogę powiedzieć, że należę do komitetu obchodów rocznicy lotów nad Warszawę. Jeszcze kilku z tych lotników żyje. Co roku we wrześniu organizujemy obchody upamiętniające powstanie warszawskie i loty z pomocą dla powstańców. Te kontakty z Polakami dają im wiele radości.

Czasami łapię się za głowę, że już nie nadążam, za dużo tej pracy społecznej. Ale społeczników jest mało, a trzeba przecież coś robić, wyjść na zewnątrz. Mnie daje satysfakcję to, że można coś dla Polonii zrobić.



Johannesburg

Barbara Maria Józefa Kukulska do Republiki Południowej Afryki wyjechała w 1982 roku wraz z mężem i dwójką dorastających dzieci: Magdaleną i Wojciechem. Mąż podjął pracę w biurze projektowym w zakładzie petrochemicznym, a Barbara od pierwszych chwil aktywnie włączyła się w pracę polonijną. Początkowo działała w miejscowości Secunda, gdzie była współzałożycielką organizacji Zjednoczenie Polskie w Secunda pod patronatem Zjednoczenia Polskiego w Johannesburgu. Po przeniesieniu się w styczniu 1984 roku na stałe do Johannesburga, podjęła działalność w organizacji Zjednoczenie Polskie w Johannesburgu. Pisała pod pseudonimem krótkie felietony i reportaże do periodyku „Komunikat”, wydawanego przez Zjednoczenie. W 1998 roku została sekretarzem tej organizacji oraz współredaktorką „Komunikatu”, który z biuletynu został przekształcony w pismo „Wiadomości Polonijne”.

W kwietniu 2000 roku, na Walnym Zgromadzeniu, została

wybrana prezesem Zjednoczenia Polskiego w Johannesburgu. Jednocześnie ambitnie podjęła się pracy dziennikarskiej i wydawania periodyku „Wiadomości Polonijne”. Pracę prezesa i redaktor naczelnej „Wiadomości Polonijnych” Barbara Kukulska wykonuje nieprzerwanie do chwili obecnej. Co ciekawe, jest osobą pełniącą najdłuższą funkcję prezesa i redaktor naczelnej pisma „Wiadomości Polonijnych” w ponad 67-letniej historii Zjednoczenia Polskiego.

Barbara M.J. Kukulska: „Ponad 16 lat jestem prezesem największej i najstarszej polonijnej organizacji w Południowej Afryce. W społeczne działanie włączona jest cała moja rodzina, do niedawna jeszcze czteropokoleniowa. Moja matka Maria Dulka dożyła pięknego wieku 101 lat i praktycznie do ukończenia stu lat aktywnie pomagała mi w pracy: była korektorką pisma „Wiadomości Polonijne”, odbierała telefony i udzielała informacji. Teraz tę rolę przejął mój mąż Marek, który od kilku lat nie pracuje zawodowo i bez reszty poświęcił swój czas na wspieranie mojej działalności jako prezesa organizacji, ale również w pracy redakcyjnej.

Nasza Polonia starzeje się, bo od lat nie ma dopływu nowej emigracji do Republiki Południowej Afryki. Młodzi, którzy skończyli tutaj studia, wyjeżdżają w poszukiwaniu bezpieczniejszego życia. Zostają tu Polacy, którzy przybyli podczas II wojny światowej oraz ci z emigracji solidarnościowej.

Ci pierwsi czują się już za słabi, aby gdzieś tam rozpoczynać życie od nowa. Natomiast wśród Polaków, którzy przestali pracować zawodowo, jest silne pragnienie powrotu do Polski, względnie podążenia za dorosłymi dziećmi i wnukami, które wybrały życie w innych krajach: Australii, Nowej Zelandii, Wielkiej Brytanii, Kanadzie czy Stanach Zjednoczonych.

Kilka rodzin wróciło do Polski po ponad 30 latach. To są bardzo trudne decyzje i nie każdy ma odwagę i siłę na sprostanie tym wyzwaniom. W podjęcie decyzji zaangażowane są całe rodziny, ale łączy się to z „rozdartym sercem”, gdyż często bywa tak, że jedno z dzieci osiedliło się z rodziną na kontynencie australijskim, a drugie na amerykańskim. Wtedy wybór emerytowanych rodziców pada na Polskę. Powrót do kraju ojczystego po wielu latach to wielki stres związany z poznawaniem nowych realiów życia w Polsce.

My też rozważamy ewentualny powrót, gdyż w Krakowie przed dziesięciu laty osiedlił się nasz syn Wojtek z rodziną, a córka Magda mieszka w Johannesburgu. Jednak, gdy wnuk Filip skończy niedługo studia, to kto wie, czy córka nie przeniesie się wraz z nim do Anglii.

Praca na rzecz Polonii to ciągła dyspozycyjność, praktycznie non stop, przez wszystkie dni w roku, o każdej godzinie.

Tak, jest to uciążliwe, ale jednocześnie daje olbrzymią satysfakcję wpływającą z tego, że pomaga się potrzebującym. Bezinteresownie można służyć innym – i to jest tajemnica sukcesu i motor do działania. To również daje siłę wewnętrzną do przeciwstawienia się słabościom”.

Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie”, wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.



”

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Wszędzie mieszkają ciekawi ludzie.

Rozmowa z Joanną Sokołowską-Gwizdka o literackich i dziennikarskich fascynacjach oraz o najnowszej książce poświęconej teatrowi emigracyjnemu.



Joanna Sokołowska-Gwizdka podczas XX Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie, fot. Jacek Gwizdka.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Czytając Pani książkę o teatrze emigracyjnym zastanawiałam się nad tym, co by było, gdyby pozostała Pani w Polsce i nie wyjechała do Kanady, a potem do Stanów Zjednoczonych. Być może ta książka w ogóle by nie powstała albo też powstałaby jakaś zupełnie inna. Była Pani przecież znaną dziennikarką, a także pracownikiem naukowym UŁ...

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Mieszkając w Polsce byłam związana z uczelnią – pracowałam w Katedrze Literatury Staropolskiej Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie zajmowałam się teatrem staropolskim. Bardzo lubiłam wejść w świat archiwów i tropić literacko-teatralną przeszłość, np. nigdy niepublikowane sztuki teatralne z początku XIX wieku, pisane przez dobrze wykształconego i utalentowanego nauczyciela dzieci Czartoryskich i Potockich, a później dyrektora Biblioteki im. Ossolińskich – Adama Kłodzińskiego. W Dziale rękopisów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu dotarłam także do oryginału wspomnień XIX-wiecznego pamiętnikarza, Franciszka Ksawerego Preka. Był niepełnosprawny i bardzo dużo pisał. Obracał się w środowisku arystokracji, bywał na różnych przyjęciach, a że był świetnym obserwatorem, pozostawił po sobie wiele interesujących opisów. Od niego dowiedziałam się, że sztuki, które wyciągnęłam z zapomnienia, widział sam Aleksander Fredro i mógł się na nich wzorować. Takie poszukiwania mnie fascynowały, bo czułam się jak detektyw.

Skąd zatem dziennikarstwo?

Praca na uczelni trochę mnie izolowała od ludzi, musiałam więc znaleźć taką dziedzinę, która by mi tę izolację rekompensowała. Dziennikarstwo było do tego celu idealne. Wyjeżdżałam na różne festiwale w Polsce i za granicą, poznawałam ciekawe historie i interesujących ludzi. Miałam dzięki temu kontakt z nowościami

w dziedzinie kultury oraz z pasjonatami, którzy ją tworzyli. To doświadczenie różniło się od obcowania z literacką przeszłością, zamkniętą w archiwach. Praca na uczelni i dziennikarstwo uzupełniały się więc znakomicie.

Można by więc domniemywać, że gdyby napisała Pani swoją książkę w Polsce, dotyczyłaby tych teatralnych odkryć...

Zapewne tak. Zresztą, mam nadzieję, że taka publikacja powstanie. Otóż podczas promocji mojej książki o teatrze emigracyjnym miałam spotkanie na Uniwersytecie Łódzkim, które przygotowała moja dawna koleżanka z Katedry Literatury Staropolskiej, prof. Maria Wichowa. Po latach wspominałyśmy dawne czasy i moją pracę na uczelni. Profesor Wichowa zaproponowała mi powrót do moich dawnych odkryć. Postanowiłyśmy, że postaramy się o wspólne wydanie tych sztuk. Być może się uda.

Byłam także wielokrotnie akredytowana na Festiwalu Chopinowskim w Nohant we Francji i poznałam francuską biografkę Chopina, autorkę książki: "Chopin u George Sand. Kronika siedmiu lat". Sama byłam zafascynowana tym kompozytorem. Pisywałam codzienne relacje z festiwalu do "Rzeczpospolitej".

Może więc napisałaby Pani również biografię Chopina? Ale wróćmy do Pani książki „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” - skąd wziął się pomysł jej napisania?

Pierwszym impulsem, który sprawił, że zainteresowałam się tym tematem, było odkrycie, że jest to znakomita, profesjonalna scena. Miałam inne wyobrażenie o scenie polonijnej, sądziłam, że jest trochę "kulawa". Kiedy obejrzałam pierwszy spektakl **Marii Nowotarskiej** o Hemarze, byłam zaskoczona. Zobaczyłam wspaniałych aktorów, którzy jednocześnie cudownie śpiewają. Później dowiedziałam się, że są to profesjonalni aktorzy i śpiewacy, występujący na scenach kanadyjskich i to z wielkim powodzeniem. Potem chodziłam na wszystkie spektakle i pisałam pełne zachwyty recenzje. Propozycja napisania książki wyszła od twórców **Salonu Poezji, Muzyki i Teatru. Jerzy Pilitowski**, który był wówczas menadżerem tego teatru, zaproponował mi napisanie książki w bardzo uroczystych okolicznościach. Zbliżała się okrągła rocznica istnienia tej sceny, stąd myśl, aby tę działalność utrwalić.



Maria Nowotarska w sztuce Kazimierza Brauna „American dreams”. fot. Stanisław Cisek.

Jaki miała Pani pomysł na tę książkę?

Koncepcja powstawała w toku pisania. Zaczęłam od zebrania wszystkich recenzji, które powstały na temat spektakli tego teatru, a było ich dużo, gdyż scena powstała w 1991 roku. Nagrywałam też wywiady, które dziś są już zupełnie unikalne, ponieważ wiele osób już nie żyje. To jest blisko 270 godzin interesujących rozmów! Mąż Marii Nowotarskiej – Jerzy Pilitowski był architektem, umysłem ścisłym i dążył do tego, aby książka miała ściśle teatrologiczny i dokumentacyjny charakter. Natomiast Maria Nowotarska chciała, aby to był bestseller i aby książka dobrze się czytało. Próbowałam połączyć te dwie tendencje, co było rzeczą bardzo trudną. W rezultacie powstało dużo więcej materiału, niż zostało opublikowane. Mogłaby więc powstać jeszcze jedna publikacja, *stricte* naukowa. A ponadto jest jeszcze wersja angielska, dopasowana do amerykańskiego odbiorcy.

Powstała zatem publikacja z wielkim rozmachem i o dużym potencjale.

Dlatego też był problem z jej wydaniem. Stąd decyzja, aby zdecydować się na wersję popularyzatorską.

A czy trudno było się Pani ograniczyć?

Ojej, było mi żal każdego zdania! Każde było okupione wysiłkiem, więc trudno się dziwić, że było mi szkoda (śmiech).

Teatr, który Pani opisała, zachował to "coś", co było wartością teatrów lat 70. i 80. Wtedy na scenie nie eksperymentowało się aż tak bardzo, ale był to teatr autorski, realizowany w oparciu o znakomite teksty.

Myślę, że zasługą **Marii Nowotarskiej** było to, że dobry krakowski teatr przeniosła na emigrację. Miała znakomite pomysły inscenizacyjne i sięgała po znanych autorów, przede wszystkim po wielką polską poezję. Odegrało to szczególną rolę w edukacji młodzieży. Przeprowadziłam w polskich szkołach ankietę, z której wynikało, że młodzi są dumni ze swego polskiego pochodzenia i że jest to zasługa teatru. Młodzież bardzo przeżywała przedstawienia teatralne – działy o wiele więcej niż sobotnie nauczanie w polskiej szkole.

Jaki był czas przygotowania takiego spektaklu i jak częste były premiery?

Przygotowanie spektaklu trwa wiele miesięcy, a premiery powstają mniej więcej raz do roku. Maria Nowotarska włącza w ich przygotowanie specjalistów z różnych dziedzin, którzy wyemigrowali do Kanady, gdzie często zajmują się czymś innym, a teatr staje się dla nich możliwością spełnienia, ich pasją. To

jest ogromny wysiłek, wiele pracy, a spektakle są jednak ulotne. Zostaje trochę fotografii, ktoś zarejestruje przedstawienie na wideo, ale nie jest to stała scena, która regularnie powtarza włączone do repertuaru przedstawienia. Choć teatr pokazuje także sztuki wyjazdowe, napisane dla dwóch aktorek przez Kazimierza Brauna, układające się w cykl prezentujący wielkie Polki - emigrantki. Są one prezentowane w różnych miejscach Ameryki Północnej i Południowej oraz w Europie, gdzie mieszkają duże grupy Polaków. Stają się sposobem na propagowanie polskiej kultury na świecie. Od pewnego czasu sztuki te są tłumaczone na różne języki i mogą je oglądać także cudzoziemcy.



Wielką wartością Pani książki jest chyba właśnie to, że jest to książka o ludziach, a to zawsze jest ciekawe. Przypuszczam, że również dla Pani wartością dodaną był fakt, że mogła porozmawiać z wieloma interesującymi artystami. Jak zapamiętała Pani te spotkania?

Spotkania i rozmowy zaowocowały przyjaźniami, dotyczy to głównie tych osób, z którymi spotykałam się najczęściej. Weszłam wręcz w życie rodziny Pilitowskich i czułam się kimś bliskim. Przywiązałam się też do śp. Jasi Jasińskiej – artystki teatru Hemara. Była aktorką przedwojenną ze Lwowa i przeszła cały szlak bojowy z Armią Andersa – występowała tam w teatrze. Mieszkała niedaleko mnie w Toronto i okazała mi wiele ciepła i serdeczności.

Dzięki tej książce poznawała Pani także środowisko, próbując się jakoś zakorzenić w Kanadzie...

Istotnie, wyjechałam do Toronto, nie znając tam nikogo. W tej sytuacji teatr i rodzina Pilitowskich stali się moją "rodziną zastępczą". Dzięki temu zaczęłam od nowa budować wokół siebie środowisko, tworzyć więzi. Po każdej mojej przeprowadzce musiałam pokonać wielki stres, ale później okazywało się, że wszędzie mieszkają ciekawi ludzie. To bardzo wzbogaca. Pomagał mi fakt, że pobyt w kolejnym mieście zaczynałam od

wieczoru autorskiego, związanego z moją poprzednią książką o Helenie Modrzejewskiej. Opowiadałam o tej niezwyklej postaci i jej amerykańskim sukcesie, organizowałam wystawy pamiątek, które zbieram od lat i tak budował się krąg nowych znajomych, a z czasem przyjaciół.

A czym się różnią spotkania autorskie w Kanadzie i USA od tych w Polsce?

Podczas spotkań autorskich w Polsce pytano mnie m.in., jaką rolę spełniają takie ośrodki, jak Salon Poezji, Muzyki i Teatru, stworzony przez Marię Nowotarską i jaki mają wpływ na to, aby polska młodzież na emigracji rosła w poczuciu własnej wartości. Czytelnicy na emigracji są bardziej sentymentalni. Dla nich taki wieczór to okazja do przypomnienia sobie języka, postaci z polskiej historii i literatury oraz do spotkania się.

Wywiad pochodzi z portalu Kulturaonline:

<http://kulturaonline.pl/joanna,sokolowska,gwizdka,-wszedzie,mieszkaja,ciekawiludzie,wywiad,tytul,artykul,-28258.html>